



ROK LIX

Nr 44

PRACA

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 30 PAŹDZIERNIKA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Zagadnienia — które warto poznać — *M. B. - Ł.* Z działalności policji kobiecej — *C. r.* Praca domowa ucznia (c. d.) — *T. Męczkowska.* Matki — a pierwsze lata nauki — *Stefanja Szuchowa.* Pamięci Chopina — *Juliusz Rencki.* Wiersz: Żal — *Hanna Morkowiczówna.* Marylka (nowela) — *N. Drucka.* Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) c. d. — *P. Mantegazza* — autor. przekł. *T. Jakubowicza.* Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszancka.* Z inteligenckiej niedoli — *C. Walewska.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Róże szydełkowe. Kapelusze — *Well.* Bierz to z uśmiechem — *W. N...cka.* Polska współczesna. O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothe.* Kilka uwag o wyborze zawodu — *J. S.* Zimowe przechowywanie jarzyn — *Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas - Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska.*) Arkusz wzorów.

ZAGADNIENIE — KTÓRE WARTO POZNAĆ



Ankieta, przeprowadzona wśród robotnic fabrycznych przez inspektorki pracy w końcu 1924 i na początku 1925 r., dostarczyła niezmiernie ciekawych danych o zarobkach. Jest to bodaj wyjątkowy u nas fakt zbadania warunków zarobkowania znacznej grupy pracujących, ankieta bowiem objęła 227 zakładów przemysłowych różnych gałęzi wytwórczości i różnych rozmiarów i 10,643 robotnic czyli więcej niż połowę kobiet zatrudnionych w fabrykach warszawskich. Z tego względu płace i wogóle zarobki pracy, o których informuje ankieta, można bezwzględnie uważać za miarodajne w stosunku do ogółu robotnic fabrycznych w naszym mieście, gdyż 1^o informacje były zbierane przez osoby bezstronne i doskonale rozumiejące się na rzeczy; 2^o od owego czasu do chwili obecnej przemiany nie uległy większym zmianom; 3^o wreszcie dane o płacach zgrupowane są przez autorkę opinowania p. Marię Kirstową w sposób umiemy i przejrzysty, a przytem pozwalający na porównanie z płacami mężczyzn, w tych samych gałęziach przemysłu,

P. Kirstowa rozpatruje dwie kategorie płac dniówkowych t. j. za 8 godzinny dzień roboczy mianowicie: płace robotnic i robotników dorosłych oraz płace t. zw. robotników młodocianych w znaczeniu polskiego ustawodawstwa ochronnego, które pod tą nazwą rozumie młodzież obu płci od ukończonego 15 do 18 włącznie roku życia. Na wstępie jednak autorka czyni zastrzeże-

nia, że przy określaniu płacy w obrębie danego przemysłu, ściślej zaś w obrębie danego zakładu przemysłowego nie gra roli decydującej wiek robotnicy ani nawet rodzaj jej zajęcia. Wobec tego, że ogromna większość robotnic należy do kategorii niewykwalifikowanych, na wymiar płacy wpływa raczej wprawa, a więc czas przepracowany w tej lub takiej samej fabryce, oraz osobiste uzdolnienie. Dlatego też niejednokrotnie młodzieńkie dziewczynki pobierają wynagrodzenie wyższe, niż starsze robotnice. Stąd również maximum zarobku t. zw. młodocianych robotnic (poniżej lat 18) niemal we wszystkich gałęziach pracy przekracza minimum zarobku robotnic dorosłych.

Najniższe płace w przemyśle istnieją w wytwórniach pudełek tekturowych i rozpoczynają się od 1,16 zł. dziennie dla młodych dziewcząt i od 1,33 zł. dla dorosłych. W przemyśle tym pracowała do niedawna znaczna liczba dziewczynek poniżej lat 15, które zostały usunięte dopiero pod wpływem ustawy z dn. 18 lipca 1924 roku w przedmiocie pracy kobiet i młodocianych, gdyż ustawa ta stosownie do zasady naszej konstytucji ustanawia zakaz zatrudniania młodzieży przed ukończeniem tego wieku. Wynagrodzenie dziewczynek „do posług” lub „na posyłki” bywa jeszcze znacznie niższe: w zbadanych krawieckich i bielizniarskich pracowniach 58 groszy dziennie, a właściwie 14,50 zł. miesięcznie (liczy się przeciętnie 25 dni pracy w miesiącu). W przemyśle drzewnym, gdzie dziewczęta zatrudniane są tylko jako „pomoc”, t. zw. najniższa kategoria pracujących, dzienna ich płaca

dochodzi najwyżej do 3 zł. dziennie. Natomiast we włókiennictwie pracują niekiedy młode dziewczyny przy tej samej specjalności i na tych samych warunkach co zupełnie dorosłe (po 18 latach wieku), pobierając po 4,50 zł. za 8 godzin pracy (od połowy r. b. podwyższono płace w tym przemyśle o 10%). Podobnie zdarzają się młodzietkie pracownice igły na tyle wykwalifikowane, że otrzymują 3,70 zł. dziennie, podczas gdy maksymalne płace dorosłych wynoszą 6 zł. W fabrykach elektrotechnicznych maximum płac robotnic młodocianych oblicza się na 3,80, robotnic dorosłych na 5,20 zł. dziennie. W drukarni wymienione kategorie płac maksymalnych wynoszą 3,33 i 5 złotych.

Widzimy więc, że w najlepszym razie dziewczyna poniżej lat 18 nie zarabia więcej nad 110 zł. za 25 dni, normalnych dni pracy na miesiąc, przyczem zarobki tej wysokości spotykają się wyjątkowo w przemyśle włókienniczym.

Dla robotnicy dorosłej średni zarobek dniówkowy wznosi 3 do 4 zł., a więc 75 do 100 zł. miesięcznie, rozpoczyna się zaś, jak powiedziano wyżej, od 1,33. Płace te w fabrykach cukierków, w przemyśle włókienniczym i chemicznym dochodzą do 6 zł. Wyjątkowo uzdolnione robotnice pobierają wynagrodzenie znacznie wyższe nawet od tego maximum. Niektóre ankietowane galwanizatorki oraz kobieta, sprawująca obowiązki majstra — lakiernika w jednej z wytwórni przemysłu metalowego, podały swą płacę na 6,80 zł. dziennie. Pewna liczba sztancowaczek, polerowniczek, bronzowniczek i szlifierek w wielkich zakładach metalowych miała gwarantowane od 8 zgorą do 9 zł. Kontrolerki, badające w fabrykach chemicznych zawartość naczyń i dobroć wyrobów, biorą po 8,33 zł. dziennie. W fabrykach trykotaży płace niektórych robotnic przekraczają 9 zł. W fabrykach cukierków pomocnice t. zw. subjecktów, zdolne do kierowania samodzielnie robotą, w zastępstwie takiego subjeckta mają płacę 6 do 9,16 zł. Nieco mniej od tej ostatniej cyfry (6 — 8,35 zł.) otrzymują nieliczne nakładaczki i odbieraczki w większych drukarniach oraz kontrolerki w fabrykach gilz. Są to, powtarzamy pracownice i płace spotykające się bardzo rzadko.

Uprzywilejowane wynagrodzenie pobierają kobiety — rzemieślniczki, zwłaszcza dobrze wykwalifikowane. Płace t. zw. starszych panien w pracowniach sukien i magazynach kapeluszy dochodzą do 500 i wyżej złotych miesięcznie. Wyjątkowo spotykane zecerki zarabiają na równi z mężczyznami według cennika, lecz nie dochodzą do poziomu zarobków najwyższych.

Wogóle zaś dniówka za pracę kobiecą i męską tej samej kategorii wykazuje prawie zawsze znaczną różnicę. Ankietujące inspektorki natrafiły na nieliczne wypadki równości wynagrodzenia, które jako curi-oza notujemy na tem miejscu.

Jedna niewielka wytwórnia naczyń szklanych płaciła bez różnicy płci po 4 zł. dniówki, oraz w fa-

bryce koronek mężczyźni i kobiety zajęci przy haftowaniu mieli po 6 zł. dziennie.

Przy pracy na akord (od sztuki, tuzina i t. p.) zarobek w porównaniu z dniówką wynosi o 10 do 50%, a niekiedy jeszcze więcej. Wahania tu są, jak widzimy, bardzo znaczne. Jak na przykład, w pewnej fabryce włókienniczej dniówka robotnicy wynosi 4,50 zł., robotnica akordowa w danym tygodniu otrzymała przeciętnie 5 zł. dziennie. Natomiast w pewnej wytwórni trykotaży przy dniówce w wysokości 5 zł. jedna pracownica akordowa osiągnęła średnio 10 zł. na dzień.

Najliczniejsze rzesze robotnic zarabiają 3 złote dziennie. Pamiętajmy, że połowa z nich utrzymuje z tego rodzinę: dzieci, niekiedy męża chorego lub bezrobotnego, rodziców. Miesięcznie wynosi to 25 dniówek po 3, względnie 4 zł. czyli 75 do 100 zł. dziennie. Ale jeść trzeba w ciągu 30 albo 31 dni w miesiącu, kilogram chleba kosztuje około 60 groszy, a inne wydatki: opłata za nore, zwaną mieszkaniem, koszt bucików zdzieranych przez dzieci i t. d. i t. d. liczą się również według dni kalendarza, nie zaś według dni pracy. Wymowa nagich cyfr jest tu aż nadto wystarczająca. Pióro zatrzymuje się, nie chcąc i nie umiając nic do nich dodać.

W okresie przeprowadzania ankiety do smutnego zjawiska niskich płac kobiecych — nędzniejszych jeszcze od uznanych ze wszech stron za niewystarczające płac mężczyzn niewykwalifikowanych — dołączać się zaczęły nowe klęski: zamykanie zakładów przemysłowych, redukcje personelu i redukcje dni pracy. Są to rzeczy ogólnie znane, lecz niestety niedość przemysłane w sumieniach tych, którzy bezpieczni od nich stoją na uboczu. Warto o nich przypomnieć w zestawieniu z przeznaczonym na utrzymanie całej rodziny zarobkiem 80 złotych miesięcznie, który w pewnych warunkach stanowi upragniony a niedościgniony ideał.

* * *

Opracowanie ankiety, z której zaczerpnęliśmy powyższe dane, pomieszczone jest w charakterze dodatku do sprawozdania warszawskiego okręgowego inspektora pracy w wielkim tomie zatytułowanym „Sprawozdania Okręgowych Inspektorów Pracy z działalności w 1924 roku. Warszawa. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej 1925“. Opracowanie zawiera prócz wykorzystanych przez nas mnóstwo innych szczegółów, zupełnie obcych szerokiemu ogółowi inteligentkiemu i nawet wielu z pośród tych, którzy z całą pewnością siebie wypowiadają ogólniki w najzawilszych a zarazem najprostszych kwestjach społecznych. Bardzo ciekawy jest króciutki rozdział o analfabetyzmie wśród robotnic oraz końcowe wnioski w związku z ich warunkami rodzinnymi i społecznymi. Do tej pozornie suchej, a pełnej treści książki odsyłamy tych, których zdołaliśmy w jakimkolwiek stopniu zainteresować pracą i dołą robotnic warszawskich. M. B. - L.

Z DZIAŁALNOŚCI POLICJI KOBIECEJ



olicja kobieca jest instytucją w Polsce nową, wymierzoną przeciw największemu złu, dotykającemu od wieków świat kobiecy, zasługuje więc z tych względów na baczną uwagę, na to, by działalności jej przypatrywać się dokładnie, śledzić jej rozwój i sposób zwalczania przez nią piętrzących się trudności.

Polska jest jedynym krajem, w którym policja obyczajowa kobieca stanowi część policji państwowej. Do pewnego stopnia utrudnia to wnikanie w jej działalność. Policja wszelka, z natury rzeczy bowiem, musi pracować swoją osłaniającą pewną dyskrecją i nie rada jest bystrym oczom i gadatliwym językom dziennikarzy.

Jednakże społeczeństwo nie może przestać interesować się sprawami policji wogóle, a świat kobiecy działalnością policji kobiecej. I dlatego, nie dotykając spraw bieżących, których tokowi niedyskrekcja mogłaby przynieść szkodę, nie wymieniając nazwisk, pragniemy podzielić się z czytelnikami „Bluszczu” informacjami, zbieranymi przeważnie u strony przeciwnej, u tych „prześladowanych” przez brygadę obyczajową, a w szczególności i najdotkliwiej przez policję kobiecą.

Ohydny to świat, świat stręczycielek i utrzymujących potajemne domy rozpusty, oraz ich „przyjaciół domu”, mężczyzn, ciągnących zyski z nierządu, w gwarze specjalnej zwanych „alfonsami”, wreszcie świat „najgrubszych ryb”, najtrudniejszych do ułowienia w zastawione sieci, świat handlarzy „żywym towarem”.

Temu to państwu w Państwie, lekceważącemu ustawy i rozporządzenia, a jadąc rozkładu zatrzymującemu od wewnątrz organizm społeczny, wypowiedziała wojnę policja kobieca.

Rzecz tę trzeba wyraźnie ustalić, przeprowadzając konieczne rozróżnienia.

Nie prostytutkę, tę ofiarę stosunków społecznych ciemnoty, bezrobocia, zdziczenia ogólnego prześladowuje i ściga policja kobieca. Przeciwnie, ma ona dla niej najdalej idące współczucie i dąży do złagodzenia jej losu przez możliwe zmniejszenie i ograniczenie stosowanych do niej brutalności. Ostrze walki policji kobiecej wymierzone jest przeciw pośrednictwu, przeciw tym, co z moralnego upadku kobiety drogą jej wyzysku ciągną mniejsze lub większe, czasem nawet kolosalne dochody, przeciw tej ponurej zbrodni do niedawna prawie wszędzie tolerowanej, a i dziś jeszcze karanej w Polsce tak lekko, jakby tylko dla zamarkowania, że się jednakże ten występek za złe uważa.

Tu trzeba zwrócić uwagę na stan prawny kwestji. Rozporządzeniem z r. 1922 zakazane zostało w Polsce utrzymywanie domów nierządu, we wszelkiej formie: domów publicznych, domów schadzek, t. zw. pokoi umebłowanych, hotelów, goszczących za drogie pieniądze, uprawiające nierząd pary i t. d.

Prostytutkom pozwolono mieszkać tylko pojedynczo lub po dwie i tylko w swoim własnym mieszkaniu przyjmować t. zw. „gości”.

W tych ramach prawnych policja kobieca rozwijać może swoją działalność. Przepisy te zmierzają oczywiście do zatabowania pośrednictwa, do uniemożliwienia wyzysku prostytutki przez przedsiębiorców, do wysunięcia podstaw z pod nóg handlarzom kobietami i dziećmi. Aliści nie uzupełniono ich dotąd przez ustawę karną, a obowiązujący u nas jeszcze kodeks karny rosyjski tak minimalne sankcje do przestępstw tych stosuje, że wobec tego walka z nimi musi być do pewnego stopnia syzyfowym trudem.

Dodać trzeba, że do Sejmu wniesiono już przed paru laty odpowiedni projekt ustawy. Jednakże wraz z wielu innymi projektami spoczywa on dotąd w szufladzie jakiegoś referenta, czy jakiejś Komisji. Mimo to jednak, nawet w tak trudnych i niewdzięcznych warunkach pracy udało się policji kobiecej osiągnąć pewne rezultaty.

Pierwsze miesiące poświęcone były oczywiście zapoznawaniu się z terenem i rodzajem służby i z tym smutnym materiałem, z którym policjantkom przyszło wejść w najbliższy kontakt. Już wtedy notowaliśmy rezultaty takie, jak oczyszczanie Dworca Głównego w Warszawie z szumowin wszelkiego rodzaju, z elementów w najwyższym stopniu podejrzanych, które tu jakgdyby dawały sobie wszystkie rendez-vous. Potem przyszły pierwsze rewizje ukrytych jakoby, ale powszechnie znanych i głośnych domów nierządu, pierwsze rozprawy sądowe, wieńczone słabymi bardzo rezultatami niewiarogodnie łagodnych wyroków.

Obecnie działalność policji kobiecej przybrała szersze i poważniejsze rozmiary.

Od wiosny, mniej więcej, datuje się wzmożona akcja brygady obyczajowej z przeważnym udziałem policjantek w kierunku zwalczania potajemnych domów nierządu. Akcja ta, prowadzona ze szczególną zawziętością na terenie X komisariatu, przy życzliwym ustosunkowaniu się władz policyjnych i gorliwym współdziałaniu policji mundurowej tego okręgu, dała rezultaty bardzo doniosłe.

Pomimo wyroków, nieodpowiadających doniosłości przestępstwa, co jednak jak zaznaczyliśmy powyżej, jest skutkiem braku odpowiednich ustaw, pomimo że wyroki te wahają się od 2 do 5 tygodni aresztu lub od 50 do 300 zł. kary pieniężnej, wytrzymałość prześladowanych w ten sposób elementów załamała się. Nieustannie nachodzenie podejrzanych lokali, protokół, rozprawy sądowe, apelacje, odsiadywanie kary i potem znów rewizje itd. bez końca szarpnęły nerwami godnych przedsiębiorczyń i właścielek domów schadzek. Dziś oświadczają one głośno, że w tych warunkach, przy takim zachowaniu się „tych wściekłych policjantek”, nie opłaci im się prowadzenie interesu, że domy swoje zwiijają itd.

Otóż to! O to właśnie szło! O obrzydzenie im niecnego procederu! Zaraz też wygląd całej dzielnicy uległ korzystnej zmianie. Wieczorami, na ulicach nie widać już całych zastępów prostytutek, wędrujących po chodnikach i zachowujących się często w sposób krzykliwy i nieprzyzwoity. Jest w tem niemała zasługa kierownika komisariatu X-go, komisarza Budzyńskiego.

Mamy nadzieję, że akcja przeprowadzona na terenie X kom. to tylko cząstka wielkiego planu oczyszczenia całej stolicy z najszkodliwszych, zaprawdę, żywołów gangreny społecznej. I tu zwracamy uwagę policjantek na komisariat VIII, którego mieszkańcy załą się na potworne rozpanoszenie się w ich dzielnicy karygodnego sutenerstwa. Tutaj to niedawno lokatorzy pewnej kamienicy stoczyli formalną bitwę z mieszkankami tajnego domu rozpusty, ich „przyjaciółmi” i „gośćmi”.

Tu są giełdy handlu żywym towarem i znane wszystkim stałym przechodniom miejsca wieczornych konferencji „alfonsów”. Tu się ta cała obrzydliwość gnieździ i prosperuje, jak za dobrych babilońskich czasów. Nie są też wyłącznie potajemne domy rozpusty jedynymi ogniskami nierządu. Myślę, że i na terenie X-go komisariatu znajdują się jeszcze i pokoje umeblowane i hotele i otwarte w nocy zakłady kąpielowe i dancingi itd. itd., którym odwiedziny brygady obyczajowej się przydadzą.

Trudniej, niż właścicielkę tajnego domu rozpusty, trudniej jest przychwycić na przestępstwie „alfonsa”. Osobniki te, w najwyższym stopniu amoralne, terroryzują w sposób niesłychany swoje ofiary, jednocześnie żony, kochanki i przedmioty wyzysku. prostytutka nie ma nigdy odwagi oskarżyć swego wyzyskiwacza i tyrana. Nawet, gdy jej się to trafi w śledztwie, przed sądem odwołuje zazwyczaj pierwotne zeznania. Mimo to udało się policji kobiecej kilku z tych panów umieścić pod kluczem.

Najtrudniejszą jest sprawa z handlarzami żywym towarem. By ten bardzo skomplikowany i rozporządzający wielkimi materialnymi środkami handel i jego tajne drogi wyprowadzić na światło dzienne, trzeba by również rozporządzać wszelkiej kategorii ułatwieniami. I tutaj dotykamy bardzo praktycznej i konkretnej strony zagadnienia. Uposażenie policjantek, jak całej reszty policji, jest tak nędzne, że często bardzo nie mogą one pozwolić sobie na bilet tramwajowy, coś dopiero na dorożkę, czy taksówkę. Jakże tu mówić w tych warunkach o śledzeniu osobnika, który jeździ samochodami i sleepingami, przesiaduje w pierwszorzędných cukierniach i tam zawiera swoje transakcje.

Rzecz cała rozbija się bardzo często o złotówkę, której policjantka nie ma przy sobie. Ale co robią instytucje zainteresowane w zwalczaniu handlu kobietami i dziećmi? Czy nie mogłyby przeznaczyć policji kobiecej jakiegoś niewielkiego subsydjum specjalnie na podtrzymanie i umożliwienie tej niesłychanie ważnej roboty? Bezczytność tych instytucji jest wprost zdumiewająca.

Mimo szalonych trudności, jest obecnie w dochodzeniu sądowym kilkanaście spraw o handel żywym towarem: kilku oskarżonych oczekuje w areszcie terminu rozprawy sądowej.

W ostatnich czasach brała policja kobieca udział w walce z handlarzami kokainą. Wiąże się ta sprawa mocno z nierządem, ponieważ najczęściej domy schadzek są jednocześnie szafarniami tej trucizny. Ustalono, że transporty kokainy przychodzą z Gdańska i ujęto parę osób, posiadających znacznie większe zapasy

narkotyku. Ważnym atutem w walce z nierządem jest dla przedstawicielek policji kobiecej możliwość występowania przed sądami w charakterze podtrzymujących oskarżenie. Każda sprawa o przekroczenie w tej dziedzinie, czy to przed sądami pokoju, czy w sądzie okręgowym lub apelacyjnym znajduje się dziś w rękach policji kobiecej. Niżej podpisana była świadkiem interesującej rozprawy w sądzie odwoławczym, gdy przeciwko adwokatowi, broniącemu oskarżonej sutenerki, występowała komendantka policji kobiecej, panna St. Paleolog i sprawę wygrała, uzyskując zatwierdzenie wyroku na sumę 300 zł.

Gorliwości i zapałowi przedstawicielek policji kobiecej przypisać też trzeba, że obecnie wyroki w sprawach związanych z nierządem są jednak znacznie surowsze, niż w pierwszych fazach ich akcji.

Jak widać z powyższego, praca policji kobiecej zaczyna być poważnym czynnikiem uzdrowienia społeczeństwa, zaczyna dawać rezultaty, których możliwości zaprzeczali doktrynerzy, zapatrzeni w przeszłość, nie rozumiejący nowych haseł nowych dni.

Trzeba tylko, aby społeczeństwo przyszło im z pomocą, z jednej strony piętnując nietylko kobiety, ale i mężczyzn, uczęszczających do zakazanych przez prawo domów nierządu. Z drugiej — dając uznanie i szacunek te, które wzięły na siebie ciężki i nad wyraz przykry obowiązek walki z zepsuciem.

Policja kobieca liczy obecnie 18 osób, zatrudnionych w Warszawie, i 4 pracujące w Łodzi. Oczywiście pierwszy ten oddział traktować musimy tylko jako próbę, która się nadspodziewania dobrze udało i żądać powiększenia zastępu policjantek, celem rozmieszczania ich we wszystkich większych miastach prowincjonalnych, a nadewszystko w punktach granicznych. Z zapotrzebowaniem na policjantki zgłaszały się już w r. ubiegłym niektóre miasta kresowe. Dotąd nie zrobiono nic w kierunku zaspokojenia ich życzeń. Obecnie krążą pogłoski, że zamierzone jest otwarcie nowego kursu policji kobiecej. Musimy zastrzec się bardzo mocno co do doboru kandydatek. Musimy domagać się, by wpływ decydujący na dobór oddano w ręce czynników społecznych i tych jednostek z pośród policji kobiecej, które wykazały już i zrozumienie sprawy i wysoki stopień ideowości i sprawność niepospolitą.

Kładziemy na to nacisk tem większy, że poprzednie doświadczenia wykazały, iż dobór dokonany przez czynniki policyjne wypadł nieszczęśliwie, wprowadzając do policji kobiecej żywoły, z których trzeba ją było jaknajprędzej oczyszczać.

Kurs nowy winien być nietylko teoretyczny, ale przejść także praktykę pod kierunkiem wyrobionych już policjantek warszawskich tak, by uzbrojony w pełni, podjął trudne swoje zadanie. Jest rzeczą wiadomą, że handel kobietami, i dziećmi właśnie po prowincji rozpuszcza swoje zagony, że ohydne jego macki sięgają do miasteczek i wiosek kresowych. Tam więc trzeba mu przeciwdziałać, chroniąc kobietę polską przed hańbą i rozpustą. Nikt tego lepiej od policji kobiecej uczynić nie potrafi!

C. r

TEODORA MĘCZKOWSKA

PRACA DOMOWA UCZNIA

Bo, jeżeli, istotnie, na samej lekcji główny materiał nauczania, treść lekcji, będzie należycie opracowana, jeżeli uczeń będzie dokładnie zdawał sobie sprawę, jak tę nową treść zdobył, jeżeli będzie umiał w podręczniku lub książce pomocniczej treść tę odnaleźć i w domu ją pogłębić i lepiej opracować, jeżeli w innych razach sporządzenie odpowiedniego sprawozdania lub protokołu nie nastręczy mu trudności, pozwoli utrwalić piśmiennie wiadomości, aby następnie przy powtórzeniu z nich korzystać, to wszelka inna pomoc okaże się zbędną i praca w domu oprze się na tak samo racjonalnych podstawach, jak praca w szkole i będzie jej właściwym dopełnieniem.

Z kolei przejdziemy do rozpatrzenia drugiej grupy przyczyn, wpływających ze stosunku ucznia do pracy wogóle, a w szczególności do t. zw. odrabiania lekcji.

Zarówno uczeń klasy pierwszej, jak kończący gimnazjum ósmoklasista, odrabiając lekcje na dzień następny, ma na myśli jedynie cele praktyczne: jednemu i drugiemu nie chodzi o zdobycie wiedzy, o wyćwiczenie mózgu, lecz jedynie o takie ułożenie w głowie wiadomości, które okaże się wystarczającym do otrzymania „dostatecznej oceny”. Lepszy uczniowie, bardziej ambitni mają aspiracje dalej idące: uczą się na oceny „dobre”, lub „bardzo dobre”, wszystkim jednak przyświeca cel wyraźny, jasny, bezwzględnie praktyczny. Ten zasadniczo fałszywy stosunek ucznia do pracy wogóle, a w szczególności do pracy w domu, zyskał zupełne prawo obywatelstwa, sankcję nauczycieli i domowego otoczenia ucznia. Zarówno nauczyciele, jak rodzice podtrzymują w uczniu i systematycznie rozwijają uczenie się na i dla stopni.

Uczeń słyszy w domu nieustannie: „ucz się, bo dostaniesz dwójkę”, lub „masz same trójki, a jesteś tak zdolny, że powinieneś mieć czwórki”, w szkole znów nauczyciel ustosunkowuje się do pracy uczniów mniej więcej w ten sam sposób, biorąc za punkt wyjścia również stopień. Nie chcę na tym miejscu poruszać sprawy ze stanowiska pedagogicznego tak bardzo zasadniczej, jak sprawa stopni, sądzę jednak, że to zło, które ze stawiania stopni wypływa i ze stopniami się wiąże, mogłoby zmniejszyć się znakomicie, gdyby stopień nie zajmował tak doniosłego miejsca w budźcie szkolnym i gdyby ci wszyscy, którzy o charakterze życia szkolnego stanowią, patrzyli na stopień wyłącznie jako na środek, a nie jako na cel. Pewną poprawę w stosunkach pod tym względem można zauważyć w tych szkołach, które zastosowały oceny okresowe, przez co stopień przestał być osią codziennego życia, został jakby wyrugowany na plan dalszy, punkt zaś ciężkości przeniósł się na fakt, czy uczeń umie, czy nie umie lekcji zadanej.

Rozumiem dobrze, że całkowite usunięcie stopnia nie jest łatwe do przeprowadzenia. Fałszywy ton apanował wszechwładnie i tak opanował „uczących” z „uczących się”, że tych, którzy zapragną reform w tej dziedzinie czeka ciężka i długa walka.

Przekonanie, że trzeba uczyć się dla stopni jest wśród młodzieży tak mocne, jak może żadne inne. Kiedy w jednej ze szkół rozeszła się pogłoska, że stopnie mają być skasowane, jeden z uczniów klasy III odruchowo zawołał: „jeżeli nie będzie stopni, to „człowiek” już zupełnie nie będzie wiedział, poco się uczył”. Istotnie, skąd taki „człowiek” z klasy trzeciej lub drugiej ma wiedzieć, że są inne cele niż stopnie,

kiedy tego właśnie nie powiedziano mu wyraźnie, natomiast podkreślano stale, od pierwszego dnia jego wstąpienia do szkoły, że między uczniem a stopniem istnieje bezpośredni, ścisły i najbliższy związek. Zło, które przez stopnie i wraz z nimi dostało się do szkoły, może być całkowicie usunięte, dopiero wówczas, gdy stopnia nie będzie wogóle. Zanim to jednak nastąpi muszą nauczyciele, wychowawcy, rodzice zerwać z dotychczasową metodą postępowania i baczyć pilnie, aby w rozmowach, nakazach, sądach nie wysuwać stopni, jako celu, do którego uczeń dąży, a nauczyciel w tem dążeniu dopomaga.

Uczniowi, wstępującemu do szkoły, można i trzeba mówić o sumiennem spełnianiu obowiązków, o rzetelności w pracy, konieczności pokonywania oporów własną siłą i o tem, jakie zadowolenie płynie z poczucia dobrze wykonanej pracy. Uczeń, który nie odrobił należycie zadanej lekcji, powinien doznawać uczucia wstydu wobec siebie samego, kolegów, nauczyciela, rodziców nie dlatego, że dostał złą ocenę, lecz dlatego, że wykazał niesumienność, niepoprawny stosunek do pracy i obowiązku. Argumenty tej kategorii powinny być o wiele częściej wysuwane i mocniej akcentowane, aniżeli długie, dziś tak rozpowszechnione, dyskusje z nauczycielami i wychowawcami o stopniach.

Stopień jest nietylko osią, koło której obraca się życie ucznia, jest on jednocześnie regulatorem stosunku otoczenia domowego ucznia do szkoły.

Zarządzenia szkolne w zakresie naukowo-wychowawczym nie wywołują nigdy tak namiętnej krytyki szkoły, jak stopnie, które przez otoczenie są uznane za „sprawiedliwe” lub „niesprawiedliwe”. Pod tym względem dałoby się wiele powiedzieć pod adresem rodziców lub bezpośrednich opiekunów ucznia, którzy nie zadają sobie bynajmniej trudu opanowania, lub przynajmniej nieujawniania w formie zbyt wyraźnej niechęci do szkoły, która postępy ich dziecka uznała za niedostateczne lub, co gorsze, nie promowała dziecka do klasy następnej. W takich razach zapomina się zupełnie o elementarnych zasadach pedagogicznych, podrywa się autorytet szkoły, dykcji, personelu nauczycielskiego wobec ucznia i razem z nim. Zapomina się, że promowanie ucznia do klasy następnej—to poważne zagadnienie pedagogiczne, nad którym sumiennie zastanawiają się ci, którzy mają z uczniem do czynienia przez cały rok i którzy jedynie powołani są do wyrokowania, czy stan jego wiedzy i rozwoju umysłowego umożliwi mu normalną pracę w wyższej klasie. W ciągu długoletniej mojej praktyki nauczycielskiej zdarzyło mi się zaledwie kilka razy spotkać rodziców, którzy na pozostawienie ucznia patrzyli racjonalnie, wszyscy inni — liczba ich była pokaźna—uważali fakt pozostawienia ich dziecka na rok drugi w tej samej klasie przede wszystkim za winę szkoły, za jej niesprawiedliwość, a czasami nawet wrogi stosunek do ucznia. Nie będzie to przesadą, jeżeli powiem, że pierwsze ziarna nieufności do szkoły rzucane do duszy dziecka rodzice, właśnie przez nieodpowiednią krytykę zjawisk szkolnych, związanych z oceną postępowania ucznia i jego postępów w nauce.

Uczniowie klas niższych odnoszą się do swych nauczycieli i wychowawców najczęściej z zupełnem zaufaniem, wszelkie podejrzenia o niesprawiedliwość, złą wolę są od nich dalekie.

(c d. n).

STEFANJA SZUCHOWA

MATKI — A PIERWSZE LATA NAUKI

(Artykuł w związku z dziełkiem dr. Ludwika Jeleńskiej: „Metodyka pierwszych lat nauczania”. Wydawnictwo „Naszej Księgarni”. Warszawa 1926 r.).

Poszanowanie winno stale towarzyszyć zetknięciu się z nieznanem — mówi Boole:¹⁾

Przychodzi chwila, że dziecko musi się zacząć uczyć systematycznie. Jakiż bywa stosunek matek do tego ważnego momentu.

Ostra krytyka metod, wyrazy powątpiewania, lub lekceważenia, nadzwyczajne wymagania, a potem szybko zale i pretensje do nauczycielek — nieufności, po zachwytach... tak się to zwykle zaczyna. Matki, które się dotąd sprawą nauczania nie interesowały, kierowane „zdrowym rozumem”, „instynktem”, krytyką, odrzucają, zmieniają metody i osoby. „Mnie uczono inaczej i umiem „czytać i pisać”, albo „ja chcę według najnowszych metod” oto najczęściej spotykane aforyzmy.

Nie staję po stronie tych, które ufnie godzą się na wszystko. Tem mniej po stronie pochopnych krytyków. Z nieodzownego dla kulturalnego umysłu stanowiska poszanowanie winno towarzyszyć zetknięciu się z nieznanem, trzeba poprosto przejść do poznania się ze sprawą metod pierwszych lat nauczania. Wymaga tego dobro dziecka i powinno wymagać samopoczucie matki.

Dlatego też dziełko dr. Ludwika Jeleńskiej: „Metodyka pierwszych lat nauczania”, przeznaczone dla nauczycielstwa szkół powszechnych, lub dla uczniów seminarjów nauczycielskich, może się stać nieocenioną książką dla wszystkich matek uczących się dzieci lub uczących dzieci. Książka ta znakomicie pomoże niewtajemniczonym wejść odrazu w sedno zagadnienia i sformułować sobie czego chcieć można, czego się żądać powinno i przede wszystkim pozwoli matkom poznać głębię i wagę zagadnienia. Innym, które się sprawą nauczania i kształcenia zajmowały, pomoże dziełko Jeleńskiej wiadomości uporządkować, przezcucia wyjaśnić i umocnić. Napisana treściwie i poważnie, a jednak jasno, bardzo zajmująca metodyka Jeleńskiej, posiada dla matek jeszcze jedną cenną zaletę. Obejmuje mianowicie, całokształt wskazań metodycznych na pierwsze lata. Mamy tutaj znakomitą, wyczerpującą metodykę nauczania arytmetyki i polskiego, mamy szereg nieocenionych uwag w każdej dziedzinie pracy z dzieckiem.

Najgoręcej zachęcam wszystkie matki do zapoznania się z tem dziełkiem. Przechodzimy obok tylu trupów i inwalidów inteligencji, zdolności twórczych, woli do pracy, natchnień, czujemy — każdy w sobie — tyle sił nieskoordynowanych, przyduszonych, że do prawdy skwapliwie nachylmy ucha ku tej, która przez lata pracy najtroskliwiej nad rozkwitem duszy i umysłu dziecka czuwała. Z pokorą i ufnością posłuchajmy jej rad. Przyjrzyjmy się, ile skupienia, uwag, pieczy trzeba włożyć w najprostsze a b c, w łatwutkie 2+2, aby świętych praw rozwoju nie skrzywić.

Każdego kto miał z dziećmi do czynienia uderza wprost, że się tak wyrażę nieteoretyczność książki. Wszystko z życia i dla życia. Nic ze spekulacji umysłowych. Wszystko takie proste, że się zrozumieć nie chce, dlaczego nie było zawsze i dla każdego oczywiste. Ani jednego frazesu, ani jednego ogólnikowego wskazania. Powolutku, w świetle rzeczowych argumentów, wyłania się jak przepaść o świcie różnica dzieląca „dobre nauczanie” od „złego nauczania”.

Pomoże nam więc Metodyka Jeleńskiej do zajęcia racjonalnego stanowiska i unormowana wyma-

gań, ale może także spełnić jeszcze jedno piękno dzieło: pomóc chętniej matce do samodzielnej pracy w nauczaniu własnego dziecka.

Żal jest oddawać małe dziecko do szkoły. Zwłaszcza ze wsi. Dom rodzinny na wsi to idealny teren wychowawczy. Siedmio, ośmioletnie dziecko rozkwita w oczach, żąda wiedzy. Szkoła średnia czeka. Nauka domowa, prywatna to rzecz bardzo kosztowna i najczęściej — ryzykowna. Potrzebujących pracy i nauczonych jest dużo — nauczających z powołania i talentem niewiele. Pozostaje samej wziąć się za siedmiolatka.

Nie przesądzając różnego typu warunków wspomnimy tylko, że praca usystematyzowana, praca zorganizowana dla dziecka od lat 6 do 10-ciu, powinna trwać krótko. Typ szkoły dla tego wieku to „dom dziecięcy”. A dom, najlepszym jest „domem”.

Nikt nie może tak dobrze wyzyskać czasu jak dom. W szkółce, na kompletach, pół dnia odpada na ubieranie, odprowadzanie — i w ten sposób rabujemy najcenniejszą własność małego dziecka: czas swobody.

Po drugie: nikt nie zna dziecka tak dobrze, jak matka rodzona. Ona wie kiedy znużone, jak się zachowuje, kiedy głodne, senne: ona powinna mieć wyrobioną cierpliwość na właściwości jego umysłu i charakteru. W pierwszych latach nauczania, zwłaszcza u dzieci wątłych, zależność dyspozycji od stanów fizjologicznych i umysłowych jest bardzo wielka. Szkołka, komplet nie może tego uwzględnić w dostatecznej mierze.

Jeżeli się mówi, że niemowlęciu tylko matka może gotować, możnaby twierdzić, że młodzieńką duszyczkę tylko matka może hodować. Najważniejszą rzeczą jest znajomość dziecka, jego umysłu, zdrowia i charakteru. Chodzi o to tylko, żeby te matki, które podejmą się „początków” postanowiły sobie uwzględnić swoje zrozumienie dziecka w nauczaniu.

Ale trzeba sobie odrazu powiedzieć: „początki” nie są łatwe, dlatego, że są dla nas już łatwe. „Początki” to praca bardzo odpowiedzialna, trudna i gdy źle zrobiona — nie do poprawienia.

Jeleńska nie ukrywa tego przed czytelnikami. „Zadaniem pierwszego roku nauki jest raczej przygotować dziecko do nauki niż je wyuczyć, wdrożyć do umysłowej pracy przez przyzwyczajenie do skupiania uwagi, wyrobić zaufanie we własne siły a przez to zaprawić do samodzielności w pracy”.

Pierwszym warunkiem tej pracy jest cierpliwość. Słowo cierpliwość powinna sobie każda matka przystępująca do nauczania wypisać niekoniecznie złotymi literami na ścianie, ale koniecznie i niezłomnie w każdym odruchu woli swojej. Z małym dzieckiem nie można się spieszyć, małemu dziecku nie można się ze swą wiedzą narzucać, bo jak mówi Jeleńska: „istotą nauczania jest umiejętność dopomagania naturze”.

I mówi jeszcze, żeby ogarnąć całą doniosłość i dostojeństwo pierwszych lat nauczania, trzeba uprzytomnić sobie, że dziecko przez wejście do szkoły wchodzi w kontakt z najwspanialszymi umysłami ludzkości. Całe wieki cywilizacji przemawiają do dziecka z tych prostych cyfr, prostych liter, tak elementarnie...

¹⁾ Mary Boole: Przygotowanie dziecka do wiedzy ścisłej.

ale niech nauczyciel uprzytomni sobie ile myśli genialnych matematyków złożyło się na wyrobienie formuł matematycznych, na znalezienie znaków, które poznają dziś siedmioletnie dzieci! Ile trudu, myśli i czynu wielkich mężów mieści w sobie najprostsza wiadomość geograficzna! Niech nauczyciel pozna Historję Cywilizacji, Historję Nauk, Odkryć, Wynalazków, a pojmie, w jak wielkiej mierze korzystamy z prac minionych wieków. Każdy dzień w szkole streszcza w sobie setki lat żmudy, prób i dochodzeń ubiegłych pokoleń i pozwala dzieciom czerpać z dobroku całej ludzkości. A wrota do tych skarbów otwiera przed dzieckiem nauczyciel. Niechże sam rozumie swą godność pośrednika cywilizacji. Dziecko poprzez szkołę wchodzi w świat wiedzy, zaczyna obcować ze światem cywilizowanym. Musi tą cywilizowaną myślą ludzkości przesiąknąć.

Część I „Metodyki” to znakomite wskazówki ogólne. Porządkuje w niej autorka pojęcia o nauczaniu, o istocie rozumienia, o wartości i celu nauki. Wyjaśnia istotne znaczenie pojęć o samodzielności, pogłębieniu, ciągłości. Streszczać części I nie będę. Jest ona tak treściwa i tak dobrze budowana, że chciałoby się ją całą cytować. Dlatego nie kusząc się o skrót, nie siląc się o uchwycenie jakiejś myśli przewodniej, zacytuję czytelnikom dla zachęty kilka wyjątków, odsyłając je najgorliwiej do całości.

Przy rozważaniu celu nauczania wylicza autorka dwa poglądy: utylitarny i praktyczny: nauka jest potrzebna w walce o byt — i społeczny, wartość wiedzy dla społeczeństwa nie dla jednostki. Ale zdaniem autorki: „wiedza ma według nas wartość indywidualną dla każdego człowieka i stokroć większą, niż użyteczność praktyczna, wartość duchową. Nie sądźmy, aby świat miał dla każdego jednakowe rozmiary. To czego nie znamy, to dla nas nie istnieje. Dlatego świat dla każdego jest taki rozległy, jak jego myśl o nim, granice jego są tam dokąd myśl sięga. Ubogich świat dziecka rozszerza się, życie staje się pełniejsze. I to jest drogocenną wartością wiedzy”.

Bardzo ciekawe i pożyteczne są uwagi o znaczeniu błędu. „Błąd jaki dziecko popełnia jest ciekawym interesującym a nie irytującym”. „Przyczyna błędu

tkwi najczęściej w niedostatecznym stopniowaniu trudności, przyjmowaniu za „jasne samo przez się” tego, co właśnie wyświetlania wymagało, w zaniedbaniu powtórzenia czyli... w błędzie nauczyciela”.

Przez dobre stopniowanie wymagań i trudności ochrania się klejnot rozwoju: radość pracy u dziecka. A o radości pracy nauczającego mówi Jeleńska, krótko ale dobitnie: „kto w pracy nauczania nie znajduje radości, ten nauczycielem być nie powinien”.

A że sprawę stopniowania trudności i zadowolenia ze swych wysiłków wiąże się bardzo z ogarnięciem i zgłębieniem przedmiotu, więc matkom nawet trochę zniechęconym radzę: poszukać otuchy w dziełku Jeleńskiej i poszukać potem tej radości twórczej, jaką daje obcowanie z rozkwitającym do życia dzieckiem. Wykonywana z pietyzmem jest to jedna z najmilszych i najciekawszych prac, daleka, bardzo daleka w swojej istocie od sławnego „tłuczenia kamieni przydrożnych”.

Część II szczegółowa to wskazówki przy nauczaniu poszczególnych przedmiotów. Mamy tu: metodykę języka ojczystego, arytmetyki i geometrii, ćwiczeń artystycznych, historii, geografii i przyrody.

Najobszerniej i najpiękniej opracowana jest metodyka arytmetyki i geometrii. Oświeśla ona rzeczy oczywiste, a jednak dla wielu niedostrzegalne. Może pomóc w nauczaniu matkom zupełnie niewyrobionym, tak wyczerpująco, tak dokładnie opracowany jest każdy punkt. Własnie przy czytaniu wskazówek do geometrii zrozumieć można jasno, jak ła two jest złe uczyć. Zresztą każda strona tej książki jest cenna. Metodyka poszczególnych przedmiotów, zebrana w jedno dziełko, jest książką dla uczących nie do zastąpienia.

Autorka kończy ją słowami: życzeniem mojem gorącym jest, aby „Metodyka” mogła być podnieszona do pracy twórczej. Myślę, że każda czytelniczka już po pierwszych kilkunastu stronach mogłaby autorkę zapewnić, że gorącemu jej życzeniu stanie się zadość.

Gdyby matki, chcące samodzielnie uczyć dzieci, zażądały spisu podręczników dla siebie i książeczek potrzebnych do współpracy z dziećmi, oraz wskazówek dotyczących pomocy szkolnych i konkretów, to bardzo chętnie taki spis przygotujemy.

PAMIĘCI CHOPINA

W 77-Ą ROCZNICĘ ZGONU

Pisać o Chopinie nie jest dla wielu z nas rzeczą łatwą. Chopin nie jest bowiem dla nas otwórcą, jak inni, do których stosunek nasz może się ułożyć obiektywnie. Jest on dla nas idolem, jest lub był źródłem najosobistszych i najgłębszych przeżyć, wykładnikiem pewnej epoki naszego życia jednostkowego. Pod wpływem jego muzyki kształtowała się nasza dusza; on był w pewnych okresach naszego życia najważniejszym czynnikiem naszej psychiki. Wychoywaliśmy się wprawdzie i na Mickiewiczu i na Słowackim i na Sienkiewicz, — ale tylko Chopin przeorał naszą duszę nawskroś.

Jakże tu pisać o nim spokojnie i rzeczowo, wyznaczać mu miejsce w dziejach, ważyć jego znaczenie, gdy dla nas osobiście stoi on ponad wszelką wartością!...

* * *

Chopin jest zjawiskiem w dziejach muzyki zupełnie wyjątkowym; jest indywidualnością tak bez zastrzeżeń genialną, że wszelkie przyrównywanie go do innych zawsze dotkliwie kuleje. Trafnie i dobitnie scharakteryzował go pisarz niemiecki Breithaupt: „Chopin stanowi sam dla siebie zamknięty świat cudów. Jego styl — jest zwartą całością, jest jednością osobną, której w historii sztuki z niczem nie można porównać. Nie ma on poprzedników, nie ma potomstwa. Wielkość jego wyczerpała się na nim samym, nie stworzył on nigdy szkoły. Chopin należy do genjuszów absolutnych, do rzeczywistych, pozytywnych wynalazców, w skończonej wyrazistości typu, w skończonej oryginalności”. — Tych słów, podyktowanych zrozumiałym zachwytem, nie należy tłumaczyć sobie błędnie, gdyż mówią o braku potomstwa, o niestworzeniu szkoły. Nie są bowiem potomstwem, ani nie stanowią szkoły — mniej lub więcej udatni, mniej lub więcej świadomi

i szczerzy jego naśladowcy. Chodzi o to, że indywidualność genialna nie ma wogóle dalszego ciągu — w kontynuatorach. Sedno rzeczy tkwi w tem, że geniusz jest zjawiskiem niepowtarzalnym. Niemniej przeto wpływ Chopina na całą późniejszą muzykę wszechświatową, niewyluczając mocarzy takich, jak Wagner, ani twórców o tak własnym narodowym obliczu, jak Grieg — był i jest do dziś dnia olbrzymi. We Francji ubóstwiał go ze współczesnych nam może największy — Debussy. W Rosji pozostawał długo pod jego urokiem, w szeregu swych dzieł wcześniejszych — wielki Skrjabin.

To właśnie jest miarą znaczenia Chopina dla nas, dla narodu, który go wydał. W muzyce jego skrytykizowało się w sposób niedościgniony to, co w sensie oczyszczonym z plew interesu politycznego, w sensie najszlachetniejszym nazywa się duszą narodu, mimo to muzyka szopenowska, dzięki istocie tej sztuki, opanowała świat cały i po całym świecie zapuściła głęboko korzenie w dńszach ludzkich.

Oto zwycięstwo narodowe, które niczym prawom nie uczyniło krzywdy, zwycięstwo ze wszystkich najwznioślejsze i najpiękniejsze bo zwycięstwo nad duszami, bo nie tylko niczyjego posiadania narodowego nie uszczupliło, ale przeciwnie wszechludzkie dobro — pomnożyło o obfity i ważki dorobek polski.

* * *

Uczucia ludzkie, nastroje są czemś bez porównania trudniej uchwytne, aniżeli myśli. Żadna ze sztuk nie może podejść do nich równie blisko, jak muzyka. A w jej państwie Chopin jest władcą — bez współzawodnika. Najdelikatniejsze, najkruchsze nastroje, najsztelniejsze drgnienia ludzkiej duszy, najlżejsze cienie przemykające po jej powierzchni — on umiał ująć miękką, niezawodną dłonią i przetopić w wyraz muzyczny o takiej plastyce, że słuchaczowi dech zapiera, marzeniom rosną skrzydła, rodzi się nagle, niespodziane, a ciche, cudowne życie — wspomnień; nabierają rumieńców dawno minione tęsknoty, zmartwychwstają obumarłe przeżycia.

Stan uczuciowy, który w muzyce szopenowskiej dominuje, a występuje we wszelkich możliwych niuansach, to wspomnienie przepojone bezbrzeżną tęsknotą — przedewszystkiem za wsią polską, za łąkami zbóż, za całym wielogłosowym i wielobarwnym chórem wieczoru letniego na wsi, za 'letnią burzą, za karczmą w której grzmi muzyka. — Ale Chopin nie zapożyczał się u ludu bezpośrednio, nie brał jego muzyki w naturze. Jakkolwiek jego własna — jest muzyką ludową — nawszkroś przesiąkniętą, mimo to ani razu, ani na chwilę nie traci swojej charakterystycznej, oryginalnej, szopenowskiej fizjonomji. — Wspomnienie — jest u tego samotnego choć otoczonego wielkim światem, dobrowolnego wygnańca „na paryskim bruku“ — tak żywe, że — zdałoby się — cała promienna jasność chwil minionych, całe ich szczęście budzi się gdzieś w głębinach duszy do wtórnego życia, i poprzez warstwy popiołów przedziera się ku świadomości...

Oto noc ciemna. Na niebie chmury przelewają się kłębami, bezdźwięcznie, głucho; tu i ówdzie poszczekiwanie lub skowyt psa dziwnym, przeciągłym jękiem, przerywa ponury spokój. To znów fujarka pastusza zaczyna zawodzić jęklonie, żałośnie, tu i ówdzie wpada w ciszę odoobniony żabi głos, jakgdyby się ośmielił nie w porę, — i w jednej chwili milknie. Głusza przytłaczająca jak przed burzą. Smutek kropkami sączy się w duszę. Powoli, nieznacznie, z mgieł formuje się i spływa z pod palców melodia (np. mazurek f — moll op. 7 Nr 3).

Oto cudny dzień niedzielny. W naturze i w sercu wesele, pełno słońca, ciepła, pogody i błękitem uśmiecha się niebo, jedną wielką, lecz troskliwą wesołością tchnie świąteczne popołudnie. W karczmie — muzyka kipi gwarem, dudni głosami — daleko, aż w pola, żytem srebrzyste, pszenicą pozłacane. Chłopcy, kumy, dziewczki — tak się toto rozhulało, że jedno drugiemu na pięty wchodzi, po nogach sobie tarasi! Ale ktobyto na to zważał. Rzną skrzypki, basy wtórują im uporczywie, wytrzymałe zawsze jedną i tą samą kwintą (c-g).

Jakżeto podśpiewuje sobie dziewczyna w „Chłopach“?...

„Aj, nie chodź kiele woza

Aj, nie trzymaj się osi,

Aj, nie daj chłopu gęby,

Aj, choć cię pięknie prosi.

To nam wyśpiewuje i wytupuje mazurek C-dur op. 56 Nr 2 pod względem wyrazistości wyrazu nie mający sobie równego.

Czasem wspomnienie takie, jak jasny promień, przebija się przez ciężkie chmury jakiejś obecności, jakiegoś ponurego dziś. Jakby na dwie strony rozsuwa rozpamiętywania i staje przed oczyma: jasne widzenie czegoś cudnego, co kiedyś dawno był o; rozległe, polskie pola, zapach świeżej, wiosnianej roli. To mazurkowa część Polonezu fis - mol (op 44), Jakżeby się chciało wszystkimi fibrami duszy, całą potęgą woli obraz ten przytrzymać, w rzeczywistość zmienić, marzenie się rozplywa, ponura rzeczywistość wraca (tempo I).

Odmianę tego samego nastroju (dalekie, zasiane zbożem, polskie pole) spotykamy w cudownej pierwszej części im promptu fis-dur (op. 36), w nokturnie g-dur (op. 37, Nr 2).

Drugim elementem dominującym w muzyce szopenowskiej jest erotyzm, ale erotyzm najszlachetniejszego, najsztelniejszego gatunku, spowity w niewysłowioną słodycz i kobiecą miękkość, przesłonięty melancholją. Są nim przepojone nokturny, preludja, walce; a najcudniejszym kwiatem zakwitnął w etiudzie e-dur (op. 10 Nr. 3), w „Barcarolli“ (op. 60) i w durowej części sonaty h-mol (op. 58), gdy (w Allegromaeosto) po burzliwym wstępie powoli się fale wygładzają i przesłiczna melodia wprowadza nas w słodki świat miłości.

* * *

Chopin był genialny, bo muzyka jego nie zna rozwlekłości, gadulstwa (czego np. nie można powiedzieć o współczesnym mu i podobnym z wielu względów romantyku Schumanie). Nic w niej niema zbyt technicznego. Jest cudownie treściwa, zwięzła, przytem, nieźrównanie jasna, nieskomplikowana i przejrzysta. Każdy jego znak posiada swoją szczególną treść, każdy najdrobniejszy symbol — swoje jedyne znaczenie nie do zastąpienia, każda melodia i harmonja — swój sens jedyne, swoje wyraziste, smutne lub wesołe a zawsze marzycielskie spojrzenie. Dlatego z tonów jego niczego nie wolno uronić, niczego pominąć, a barbarzyństwem są wszelkie na nich dokonywane pomysłowe operacje.

Nie sposób oczywiście w ramach krótkiego artykułu wyczerpać charakterystykę geniusza.

Chopin był nim, jakkolwiek był twórcą w pewnym sensie ograniczonym: tworzył wyłącznie na fortepian. Ale na tem polu osiągnął szczytów, na których, jako twórca polski, jest dotychczas — wśród plejady obcych — jedyne.

Juliusz Rencki.

HANNA MORTKOWICZÓWNA

Ż A L

*Żal uwięził w zaschłej krtani, w bezwładnej udęcie,
By za chwilę się łzami rozprysnąć perłście.
— Ach, weźcie wasze oczy, weźcie wasze ręce,
— Ach, nie mówcie nic do mnie, nic o mnie nie myślcie!*

*Ach, nie płaczcie tak głośno, nie krzyczcie tak wiele
I głowami nademną żałośnie nie trzęście!
W rozdygotanych zębów klekocie i chrzęście
Żałość sama ucichnie, sama w pył się zmiele.*

*(Trzepocą w pustej czaszce zdarte strzępy myśli,
Mgli się wzrok, zaśliniony lepkiem, ławym szłochem!)
Ach, odejdźcie! — Nic nie chcę, nikogo nie kocham!
Ach, odejdźcie! — Ach, poco — pocoście tu przyszli?*

N. D R U C K A

M A R Y L K A



a bezbarwnych od jaskrawego słońca schodach biel niezliczonych, drobnych, batystowych falbanek.

Trzyma w ręku dwie książki i patrzy przed siebie, namyślając się, czy ma iść w prawo czy w lewo.

Frunie ze schodów i falbanki trzepoczą jak setki białych motyli.

Biegnie przez ogród. Śpiewa.

Jak dobrze na wsi, od tylu lat Sopoty, Drusieniki, Zakopane... Poczciwa pani Korulska, kochany dobry Bob, jest z niego dumną zawsze i w każdej chwili. W towarzystwie jest przecież zawsze najładniejszy, najdowcipniejszy, tańczy najlepiej, a jaki ma głos.

To tak trzeba, by mąż był znacznie mądrzejszym od żony, Marylka nie ma pretensji, że Bob traktuje ją trochę jak dziecko.

A jednak to śmieszne być tak zakochaną po dwóch latach małżeństwa.

— Niech będzie śmiesznie, niech będzie głupio— podśpiewywuje Marylka i porwana koniecznością wyławowania uczuć, przyciska z całych sił książki do siebie, kocham, kocham ciebie jednego na świecie, mój przecudny, mój dobry Bobku!

Falbanki lokują się na szarej ławce bez oparcia. Marylka otwiera książkę, lecz ręka leniwie opada, a niebieskie matowe oczęta uciekają w górę ku

wierzchołkom świerków, nad którymi drzy rozgrzane powietrze.

Cicho, gorąco.

Malinowe, dziecinne usta uśmiechają się nieznacznie.

Nie trzeba myśleć, że Marylka marzy, marzenia ziściły się wszystkie w tę letnią, pierwszą noc po ślubie, Marylka poprostu zagłada oczami duszy w niedaleką przeszłość.

Dni narzeczeństwa, okrągłe, równe jak różowe perełki, nanizane na złoty sznurek, oczekiwania i spaceru we dwójkę i ostatni paniński bal na wiosnę. Marylka miała wtedy niebieską jedwabną sukienkę, spuszczoną z ramion.

Gdy wyszli na balkon, miasto już zasypiało, na ulicy było ciemno.

Bob pocałował ją z tyłu poniżej szyi, prowadził usta po nagich, gładkich ramionach. Potem wziął ją mocno za ręce, tak że zabolalo i takim dziwnym, nie swoim głosem spytał:

— Kiedyż nareszcie w tobie obudzi się kobieta, ty śliczne, głupiutkie dziecko?

Było trochę przykro, ale minęło.

No, a potem był ślub. Wszystko jak powinno być, nawet bardzo ładnie.

Kościół Św. Krzyża, śliczny chór, dużo światła, moc gości i to wszystko dla niej, dla głupiej Marylki, która nie skończyła ósmej klasy i nie była by skoń-

czyła napewno, bo mój Boże, jakżeż nudno się uczyć, Bob uratował ją od kompromitacji, zaręczając się z nią i oto teraz stała się ośrodkiem ogólnej uwagi, zazdrości bodaj...

— Panie Miłościwy, daj mu szczęście, jemu jednemu, mnie nie trzeba, naucz tylko być tak dobrą żoną, by nigdy, nigdy go nie zmartwić. I jeszcze Boże, pomóż mi dziś w nocy...

Ksiądz skończył kazanie. Mamusia płacze, a tatuś uroczyście obejmuje Boba. Tyle uścisków, życzeń, twarzy uśmiechniętych...

— Napewno będziemy szczęśliwi, — myśli Marylka i przytula ramię męża do serca, czując przez jedwab ślubnej sukienki miękkie sukno jego fraka. A potem huczny obiad.

Przy stole Bob całuje ją osiem razy w rękę. Ktoś rozbija butelkę z winem, mówią, że to dobry znak.

Potem wszystko szło bardzo szybko, przebieranie się, pożegnanie, odjazd.

Takie szczęście, Takie ogromne szczęście być żoną Boba.

Ależ gorąco.

Białe falkbanki poruszają się. Marylka odrzuca w tył jasne ufryzowane włoski i ociera czoło palcami odwróconej ręki. Bob jeszcze i teraz mówi, że ona jest dzieckiem, bo podobno niema „temperamentu“. Czasem Marylce się zdaje, że to robi go nie-szczęśliwym, ale na to chyba już niema rady.

Smutno chyli się jasna ostrzyżona główka, a słońce pomiędzy cień liści rysuje na niej białe okrągłe, znikome plamy...

Będzie czytać. Przysięgła mężowi, że poświęci, cały czas na wsi, „samokształceniu“.

Bob wybrał książki i własnoręcznie do walizki zapakował.

Wzięła dwie, które leżały z wierzchu. Jedna, „Przedwiośnie“ Żeromskiego, to zdaje się o bolszewikach, tego stanowczo czytać nie będzie, druga...

Otwiera odrazu na trzeciej stronicy, francuska, rzecz dzieje się w Hiszpanji, pewno tłumaczenie.

Przewraca jeszcze jedną stronicę. U góry podkreślono czerwonym ołówkiem: Je t'aime, kocham cię.

Jak wystrzał z dziecinnej rewolweru, klapie zamykana książka, w twardej okładce.

Bob mój najmilszy — myślał o mnie, czytając tę hiszpańską historję, chciał bym tu na wsi, wiedziała, że jest mi bliskim w każdej chwili.

Gdybym jeszcze mogła coś poradzić na ten temperament, byłibyśmy kompletnie szczęśliwi.

Będzie czytała. Tłumaczenie zwykle bywa łatwiejsze, niż oryginalne francuskie książki.

Jaki jest tytuł?

Na pierwszej pustej stronicy, szerokiem, męskiem prawie, pismem skreślono:

— Panu ode mnie — Zofja Ostrowska. Marylka marszczy czoło i znów książkę zamyka. To ta pani Ostrowska, z którą Bob grywa w bridża.

— Swoją drogą, trzeba będzie się nauczyć grać w to nudziarstwo, bo inaczej Bob nigdy nie zechce jej zabrać ze sobą, a tak smutno siedzieć samej w domu.

Od niechcenia przewraca stronicy, nie spoglądając na tytuł.

Pewnie nie ciekawa ta książka.

Ale za chwilę Marylka już się uśmiecha. Na 6 str., na dole znowu czerwony ołówek pod słowami:

— Usta twoje, jak granat rozcięty, dojrzały, płynący rozkoszą nieustającą,

Pić z niego chcę, by nigdy nie zgasić pragnienia.

To bardzo ładnie z jego strony, tak myśleć o jej ustach. Może jeszcze jest coś do niej?

Na 11 str. jedno tylko słowo podkreślono:

Szaleję.

Tego Bob jej nigdy nie powiedział!

A trochę niżej:

Są kobiety stworzone do uścisków płomiennych, są kobiety, które odurzać potrafią jak opjum, nie zostawiając po sobie niesmaku taniej rozkoszy. Jeśli miłość jest przeznaczeniem, kobieta nie grzeszy, lecz spełnia misję najwyższą, powierzona jej przez Nieznanego.

Potem na 18 str.

— Gdy poraz pierwszy ujrzałem cię z mężem — dlaczego z mężem? wiedziałem, że szpady nasze skrzyżować się muszą, by chłód stali zdecydował o prawie płomiennej miłości.

— Nie, to nie do mnie — postanowiła Marylka i spojrzała na małego szarego ptaszka o żółtym brzuszku, siedzącego na krzaku dawno przegniłych bzów.

Ptaszek ćwierknął parę razy i przeniósł się na większą gałąź, uprzejmie zapraszając Marylkę, by mu towarzyszyła.

Białe falkbanki zerwały się z miejsca, spłoszyły ptaszka i naraz znowu przykryły sobą szarą deskę, starej spróchniałej ławki.

Na str. 24, Bob musiał zmienić ołówek, bo cienka czarna żmijka biegła pod słowami czyjejs rozmowy, wyróżniając je, nadając im specjalne znaczenie, jak wszystko drukowane, co zostaje podkreślone przez nieznaną, chociażby, rękę.

— Mówię ci, łatwiej nawrócić grzesznicę, niż kobietę, która zachowała cnotę do lat trzydziestu, namówić do złego.

A na marginesie czerwony ołówek.

— 28 a nie 30!

Tak to pisał Bob, ta ósemka nie zamknięta u góry, to jego.

Dziwnie jakoś duszno dziś.

Marylce przeszkadza sznur białych koralików na szyi, ciągnie go z całych sił. Sznuerek pęka. Schylona nad ziemią zbiera je do koronkowej chusteczki. Brakuje kilku, największych, ale Pan Bóg z niemi.

Szybko przewraca stronicę białą, miękką, dziecinna niemal, rączka.

Wszystkie są jednakowe, spokojne, pokryte czarnym równym drukiem, pozbawione indywidualności.

Opis morza i ruin jakiegoś zamku, potem historia jego i zamordowanej tam księżniczki, Marylka zatrzymuje się chwilę na tym rozdziale, bo szalenie, szalenie lubi bajki, lecz zaraz pchnięta jakąś myślą niespokojną wertuje dalej białe stronicy beztalennej książki.

Jest!

— A więc nareszcie jesteś moją, maro nieuchwytna, bezsennych, samotnych, nocy.

Czarnym ołówkiem malutkimi, ledwie czytelnymi literami.

17 Września.

I jeszcze.

— Jak przepaścisto mądre są twoje oczy, dowiedziałem się wczoraj wieczorem, jak gorące są twoje pocałunki, opowiadała mi czarna, jesienna noc, jak cudne jest twoje ciało odkrył mi świt, niedyskret-

nie zajrzawszy nam przez okno. Co rzeczywiście dzień dzisiejszy?

Pięć, dziesięć, piętnaście stronic, nareszcie samotne, krótkie zapytanie nad czarną kreską.

— Co będzie z nią?

Trochę niżej odpowiedź.

Kłamstwo — największym dobrodziejstwem świata.

A kilka stronic później cały traktat o kłamstwie wygłoszony przez przyjaciela bohatera.

— Odwaga kłamstwa jest szczytem bohaterstwa, łatwo zrzucić ze siebie odpowiedzialność za uczynione złe postęпки, przenosząc cały ciężar na barki powiernika. O ileż trudniej strzec swej tajemnicy, pamiętając o niej nawet przez sen i zanieść ją do grobu, gdzie jak płyta kamienna zawisnie nad tobą na wieki utajone kłamstwo.

Ptaszek o żółtym brzuszku, znowu przyleciał i usiadł tuż nad głową Marylki, lecz ona go nie widzi.

Gorączkowo, śpiesząc się przewraca stronicę, edwie dotykając oczyma słów podkreślonych czar-

nym ołówkiem i duszą całą opadając na urywanych czerwonych linjach.

Na 72 str., mówi bohater, a okrutna nieświadoma strasznej krzywdy, ręka, czerwonym ołówkiem zgadza się z nim.

— Życie moje zaczęło się dopiero w dniu, gdy cię poznałem. Zbliżając się do innych kobiet, przeczuwałem cię i zawsze wiedziałem, że przyjsz musisz.

Szare i nudne są chwile, w których dłoń twoja nie spoczywa w moich, a oczy cudne nie pieścżą mnie namiętą pieśczęcią obudzonego, ognistego uczucia.

Prawie w końcu książki podkreślono czarnym ołówkiem.

— Zobaczymy się jutro, o zwykłej godzinie, w naszym gniazdku.

— Kocham cię — mówi jeszcze raz bohater umierając, bo go zabija nieubłagany mąż na str. 182.

Białe falbanki leżą na trawie i drżą jak, tysiące spłoszonych, łamiących skrzydła, motyli.

PAOLO MANTEGAZZA

9

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

William do Emmy

Londyn, 3 lipca 18...

Z jaką radością, rzucając spojrzenie na nasze listy, spostrzegam, iż przepaść dni dzieli ostatni, jaki pisałaś do mnie w raju San Terenza od tego, który piszę do Ciebie tu pod szarem niebem Londynu, kilka minut drogi do twojego domu. Tyś mi nakazała, moja tyranko, ośmiodniowe wygnanie, a twój niewolnik przyjął je, całując kornie rękę swego władcy. Powiedziałaś, uśmiechając się, z lekka uderzając po twarzy, że widuje Cię zbyt często, że przekraczam granice, jakie winny nas dzielić, że brat staje się zbyt podobny do zakochanego, a teraz cierpię karę za dokonane przemyślnictwo. Ja się nie żalę, Emmo: spróbuję być Ci bratem, tylko bratem. Rola to bardzo trudna, dotąd nigdy jej nie grałem, byłem bowiem zawsze sam w rodzinie, lecz z mistrzynią tak cierpliwą i łagodną, jak miss Emma, uczynię postępy, i zostanę również mistrzem w sztuce braterstwa wobec kobiety, którą kocham ponad wszystko na świecie.

Lecz nie, nie: nie mam prawa skarżyć się, ani ukrywać swego bólu pod powłoką złośliwej ironii. Czyż nie Ty dałaś mi nadzieję i zdecydowałaś się z miłości ku mnie poradzić się najznakomitszych lekarzy londyńskich, by się dowiedzieć, czy nabrawszy sił, mogłabyś zostać żoną bez obawy dotknięcia pamięci ojca? I miałabym prawo winić Ciebie — coś mi wskazała drogę obowiązku jednym spojrzeniem, łagodnym, a rozkazującym? Emmo, czuję się, gdy jestem blisko Ciebie, tak maleńki. że mogłabyś uczynić ze mną, co zechcesz. Mam obowiązek być Ci posłuszny przez całe życie, bowiem powoliłaś mi raz jeden rozkazywać sobie, i płacząc na grobie swego ojca, prosiłaś, by Cię uwolnił od tyranii przysięgi, wiążącej Cię na całe życie.

Kiedy myślę, Emmo, o długich walkach, stoczonych przez Ciebie w San Terenzo i tu w Londynie, dumny jestem, że Cię kocham. Miłość i obowiązek ścierały się z sobą tak uporczywie, że nie mógłbym powiedzieć, czy kochałem Cię więcej, gdy płacząc mówiłaś mi: ojciec mój przebaczy nam, wszak prawda? Czy też, kiedy, stając się nagle poważna i błada, wołałaś: Williamie, miłość nasza zbyt byłaby niska, gdy nie miał pokonać jej obowiązek.

I tu, w Londynie, cień Twojego ojca, wyrzekł przez usta doktora Thoma, że gdyby Emma, delikatna i słabowita, nabrała dość sił i zdrowia, mogłaby, bez czyjejkolwiek bądź krzywdy, zostać żoną Wiliama. Ojciec Twój, powiedział doktor Thom, błogosławiłby Cię po dwakroć, wiedząc, że jesteś szczęśliwa i wierna istotnej treści danego słowa.

Biada człowiekowi, który nie miałby tam obowiązku i nie mógłby oprzeć swej wiary i przekonań swego życia na kamieniu węgielnym niewzruszonych zasad! Biada, gdybyśmy raz po raz rzucali na szale namietności i rozsądku wieczyste przysięgi i targi z sumieniem — by móc decydować się na czyn! Równałoby się to ztracie własnej godności, życia w nieznosnej atmosferze choroby morskiej. Po stokroć powtarzałaś mi to, Emmo, i przekonałaś mnie. Należy chylić głowę w obliczu obowiązku, lecz zagrożonym burzliwą falą życia wolno też szukać pomocy, i nikt nie miałby odwagi nazwać nędznym rozbitka, wołającego o ratunek. My zwróciliśmy się po deskę ocalenia do doktora Thoma, a on rzucił nam ją i ukazał nadzieję szczęścia: rozjaśniło się niebo, gdzie od tak dawna szalała groza huraganu i wyjrzał z pomiędzy chmur skrawek błękitu. Biednym rozbitkom na oceanie życia podał doktor Thom zbawczą linę, a my pochwyciliśmy ją konwulsyjnie, jak tonący, co tuż przed sobą widzi radosny brzeg, lecz go jeszcze nie dosięgnął.

Emmo, miłość moja ku Tobie jest jak świat wielka, w niej widzę obraz nieskończoności, lecz nie chciałbym być Twoim za cenę Twego obowiązku i złamanej przysięgi. Gdybym kochał inną kobietę, egoizm mój przełamałby wszelkie przeszkody, nie uszanowałby sanktuarjum, lecz w obliczu Ciebie, Emmo, schylam głowę. Dzięki Tobie wzniosłem się w regiony zbyt wysokie, bym mógł oddzielić miłość od obowiązku, i gdybyś miała, dając mi swoją miłość, odebrać szacunek, rzekłbym: Emmo, bez Twojej miłości umrę, lecz chcę umrzeć, mając Twój szacunek. Kiedy spoglądam na Ciebie wzrokiem duszy i widzę Cię spokojną i piękną, niby niebo gwiazdziste, widzę się jednocześnie rozpostartym u Twoich nóg, a tak jesteś wysoko, że choć ogarnia Cię cała moja miłość, ja dotykam jeno Twoich stóp.

Możesz być pewna, Emmo, że czyniąc tak, jak czynisz, jesteś posłuszną woli swojego ojca. On nie chciał Twojego nieszczęścia, chciał tylko byś nie przyniosła nieszczęścia innym. Opinia doktora Thoma może uspokoić najlękliwsze sumienie. A był to najbliższy przyjaciel i powiernik Twojego ojca: znał jego każdą myśl i głęboko czytał w tej duszy szlachetnej, a tak okrutnie rozdarł! Kiedy przemawia do Ciebie, to jakgdybyś słyszała głos swego ojca, a skoro powiedział: Emmo, będziesz zdrowa, nie trać nadziei, to niby jasny promień, idący od Twego ojca, i winiśmy przyjąć go, pełni czci i radości.

Oślódź mi, Emmo, tę banicję długimi listami, daj więźniowi chwilę powietrza i słońca, pozwól, by mógł nie umierając oczekiwać na wyrok.

Emma do Williama.

Londyn, 5 lipca 18...

Wczorajszego ranka obudziłam się pełna odwagi. W nocy spałam niewiele: i śnili mi się przez cały czas lekarze, a wszyscy naszożeni, w ogromnych perukach, o wydłużonych rysach. Miałam ich dokoła siebie, sama zaś siedziałam prawie leżałam na jakimś tapczanie. Pełna przerażenia wiałam się pod ich nożami, a oni niecierpliwie, z furją uderzali w biedną pierś moją. Chciałam bronić się przeciwko tym potworom, ale oni trzymali mnie tak mocno za ramiona, że czułam się jakby przygwożdżona. Chciałam krzyczeć, wołać pomocy, lecz brakło mi głosu, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa. I czułam ciągle okrutne uderzenia owych srogich doktorów. Widziałam już śmierć przed sobą więc zebrawszy wszystkie siły wydałam okrzyk tak głośny, że zbudziłam pokojówkę, śpiącą w sąsiednim pokoju. Przebudziłam się też sama, zroszona potem, a serce tak mi waliło, iż zdawało się rozerwie piersi.

Męczyłam się, by zasnąć znowu, i ledwo przymykałam powieki, tłum doktorów powracał, a uderzenia ich stawały się coraz to straszliwsze. Nieco spokoju odzyskałam dopiero zrana, przyrzekłszy spełnić twoje zagnienie i poradzić się trzech najznakomitszych lekarzy Londynu.

Z tem postanowieniem wyszłam w towarzystwie pokojówki, każąc wieźć się do doktora B... Mieszka on na drugim krańcu miasta i droga wydała mi się wiecznością. Denerwowałam się jazdą i swoją własną osobą: byłabym wolała nie dawać ci słowa i dochodziłam wprost do hipokryzji, perswadując sobie, że słowo dane pod wpływem strachów nocnych nie mogło obowiązywać mnie do niczego. Zdawało mi się,

że widzę zmarszczone gniewem oblicze ojca, powtarzającego tylokrotnie słyszane z ust jego słowa: „Zmieniacie ile chcecie i służbę i krawców, i konie i mieszkanie, ale nie zmieniajcie nigdy lekarza.”

Ale możesz być dumny, mój Williamie: dość było wspomnienia w tobie, aby pierzchnęły wszystkie moje wątpliwości, a pozostało jeno moje przyrzeczenie. Ty, który odgadujesz zawsze moje myśli, zanim jeszcze je pomyślę, ty co zawsze czułeś współ ze mną, musiałeś doznać z pewnością owej niewysłowionej rozkoszy wówczas, gdy spotykają się w duszy dwa silne, lecz zupełnie odmienne uczucia i stopiwszy się w jedno tworzą całość doskonałą, jak słońce promienną i jak niebo wielką.

Przebacz swej Emmie, że pośród mgły angielskiej używa słów ze Wschodu; w owej chwili, widząc pogodzonych z sobą: Williama i ojca, doznałam własnie owej rozkosznej harmoniji.

Tymczasem przybyliśmy do mieszkania doktora: nie było go w domu i służący, którego wygląd odpowiadał dokładnie sławie i bogactwu jego pana, oświadczył, że doktor B... przyjmuje tylko we wtorki i soboty. Wyznać ci muszę ku swojemu wstydu, że byłam tem uszczęśliwiona i, spieszenie opuściwszy schody, wróciłam do domu weselsza, niż wychodząc. Miałam przed sobą jeszcze całą dobę i to — nie z własnej winy...

Dziś więc byłam ponownie u doktora B... i ledwie ochłonawszy z głębokiego wrażenia po tej wizycie, piszę do ciebie, abys pożałował nieco swej Emmy, która z miłości ku tobie decyduje się na odwiedzanie owych pysznych i szorstkich kapłanów bogini Higieji, dobrotliwszej z pewnością, niż oni...

Doktor B... to istny olbrzym: nie wiem doprawdy, w jaki sposób mieści się ten potężny torz oraz mięśnie w jego czarnym stroju. Spoglądając z przerażeniem, jak gestykulował i poruszał się na krześle, drżałam, że lada chwila pękną kruche tamy, powstrzymujące tyle ruchliwej żywotności i w wyobraźni swej widziałam już tę masę cielesną, zalegającą wspaniały dywan gabinetu.

Doktor B... mówił głosem tak silnym, że wydawał mi się krzykiem dzikiej namietności, a wypowiadał wszystko tonem tak głębokiego przekonania i despotyzmu, że niepodobieństwem było przerwać mu, lub tem bardziej zaprzeczyć. Chwilami myślałam, że musi to być najistotniejszą prawdą i że temu człowiekowi obce jest nawet z nazwy jakiegokolwiek zwątpienie.

Oznajmiwszy, że nie chcę być badana, gdyż to czyniono już kilkakrotnie, podałam mu wyrok, podpisany przez kilku lekarzy, zawezwanych któregoś razu przez ojca; jednocześnie zaś pytałam się, czy ze zmianą klimatu stan mojego zdrowia mógłby poprawić się na przyszłość tak... W tem miejscu zaczerwieniłam się, bowiem trzeba było wypowiedzieć słowa najtrudniejsze, te właśnie, dla których poleciłeś mi przyjść. I zapewniam cię, że byłoby mi się to udało, gdyby korpulentny doktor, nie rozumiejąc ani mojego rumieńca, ani wahania, nie był mi przerwał gwałtownie, powodując we mnie w ten sposób wstrząs, którego z pewnością nie potrzebuję ci tłumaczyć...

Od tej chwili czułam się najzupełniej obca wobec lekarza, który spoglądał na mnie i przemawiał, a do uszu moich dochodził jeno mechanicznie dźwięk



słów, nie wywołując ani radości, ani przykrości, nie budząc zaufania lub strachu.

Śmiej się, Williamie; z Emmy, podejmującej krytykę jednej z wyroczni medycyny angielskiej, lecz wydaje mi się, że kiedy lekarz nie odczuwa chorego, nie może leczyć go, ani uzdrowić.

„...Ach, pani chce zmienić klimat, chcesz udać się do Nizy lub Pizy, do Pau i Mentony, zwiedzić Pireneje lub wybrzeże Hyères. Może też myśli pani o Maderze i Egipcie, o płaskowyżach Azji lub o Cerro di Pazco w Peru? — Ależ to są kaprysy mody, polecane przez lekarzy i przyjmowane przez chorych... Och, istotnie rzecz to bardzo wygodna posłać pacjenta daleko, aby tam umarł bez naszej winy i usunięty z oczu innych chorych! Owi lekarze-ignoranci, zalecający kaszlącym emigrowanie, nie mają wiary we własną sztukę, w naukę i w samych siebie, a kto jej nie ma, ten jest nieukiem lub szarlatanem. My posiadamy tu środki stokroć potężniejsze od ciepłego powietrza śródziemnomorskiego lub oceanicznego.

„Przy pomocy pieca i termometru ja stworzę pani w pokoju wszystkie klimaty, a z trochy węgla i wody sfabrykuję Nizę, lub Maderę przy Oxford Street lub Piccadilly, nie zmuszając do opuszczenia domu, do rozłęki z dywanami, z kwiatami, z kanarkiem... Ale trzeba przytem mieć nieco cierpliwości, wraz z kwiatkami i ptaszkami dam też i środki lecznicze: pęcherze, i maść Autenrietha, i pijawki. — O tak, moje traktowanie jest okrutne, lecz jest to okrucieństwo litościwe; dokuczliwe środki nazewnętrz, przykre do wnętrza; ja leczę głodem i cierpieniem... więzieniem i strachem...”

I doktor B... dał się porwać swej drapieżnej wymowie, lecz akcent jego dźwięczał taką wiarą, że byłam zmuszona słuchać go. Triumfował, czyniąc przegląd wszystkiej broni, jaką rozporządzał, podskakiwał na swoim miejscu tak, że wszystko drżało dokoła.

„Bo leczenie choroby, łaskawa pani, to walka pomiędzy pacjentem, a lekarzem. walka pomiędzy naturą, a wiedzą, a zwycięstwo będzie przy silniejszym i mężniejszym. A jak widzi pani (tu, mimowolnie, pociągnął do góry rękawy swego surduta, jak gdyby szykując się do partii boksu) nie brak mi ani sił, ani odwagi...”

„Mylady, gdy pani będzie chciała wyleczyć się radykalnie, proszę wezwać mnie do siebie tu, w Londynie, i ja panią wyleczę. Jeżeli chce pani umrzeć zagranicą, możesz jechać do Madery lub Nizy...”

Epilog, którym doktor B... zamknął ową konsultację, był tak brutalny, że nie znajdując słów na odpowiedź, wyjąkałam zmieszana jakąś monosylabę i zapłaciwszy honorarium, pośpiesznie wyszłam.

Trzecia część mojego męczeństwa — wypełniona i mogę powiedzieć teraz: drogi Williamie, uczyniłam to dla ciebie...

Odwiedzę jeszcze dwóch innych kolegów doktora B... a potem uznam, że jestem godna być nie tylko twoją przyjaciółką, lecz też i bohaterką twojego serca.

Dzisiaj czuję gwałtowną potrzebę antidotum na wizytę u doktora B... Wezmę swego Burns'a i twoje listy, ukryję się w najodludniejszym zakątku naszego parku i tam spędzę kilka godzin pośród drzew i wspomnień o tobie, pogrążona w poezji przyrody i w poezji serca.

(c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

Ciekawe zestawienie: młodziutka chłopka, tajemniczym, świętym porywem zmieniona w rycerza sprawiedliwego boju — i pyszny cesarz-zdobycwca, nie pojmujący życia bez władzy, wojny i dworskiego zbytku.

„O jakże różne przed Prawdy mistrzynią
Orły, choć wszystkie jeden hałas czynią!...”¹⁾

W Napoleonie widać, wyolbrzymione i wyszlachetnione przez wielkość, wszystkie, dobre i złe, cechy męskości: rozum przeważa wybitnie nad uczuciem, siła wyradza się w brutalność. Cała gigantyczna praca jego duszy ma charakter wybitnie egocentryczny: celem najwyższym jest wyniesienie własne, władza i rozkosz szerokiego działania.

Joanna — jedyna na tych wyżynach — reprezentuje kobiecość, choćby przez swą uczuciowość, tak spontaniczną, głęboką, rzewną — przez wielką wrażliwość i wrodzoną dziewczęcą niewinność myśli i odruchów. Tych właśnie momentów najtrudniej docenić w niej tym, co już się zdobyli na właściwe zrozumienie dla jej cnót rycerskich (B. Shaw)

Joanna — to fenomen kobiecości aktywnej, rozkazodawczej, opanowującej otoczenie nie pośrednimi drogami, lecz wprost przebojem — nie artyzmem wybiegów jakichkolwiek, lecz suggestywną siłą, tak, jak czyni każdy wódz, po wszystkie czasy. Jest to genjusz typowo niewieści, przede wszystkim dlatego, że tak bez zastrzeżeń altrocentryczny²⁾. Wszystko, co

ona czyni, to dzieje się „de par Dieu” — z Boga i dla Boga — a także, w drugim rzędzie, dla ludzi i króla. To, co się u niej zarozumiałością wydaje, co raziło nieraz współczesnych — jest tylko wielką pewnością swego posłannictwa.

Najszerzej rzecz biorąc, można ją nazwać patronką powołań. Nikomu chyba drugiemu na ziemi tak jasną nie była wewnętrzna prawda, ni tak mocnym, nieodpartym rozkaz z niej płynący.

Władzy darować nie można — wziąć ją trzeba! To też ona ją wzięła, obyczajem wielkich wodzów — sama, w ogniu bitwy.

Jeśli nie miała formalnej władzy nad wojskiem, to miała coś lepszego: władzę faktyczną, zdobytą przez swoją dzielność, panowanie nad duszami i tajemniczy kontakt z duszą narodu.

Urzekająca wprost żołnierzy odwagą najpiękniejszego typu, bo absolutnie instynktowna: ona nie mogła nie iść naprzód!

Joanna przez swą pobożność należy jeszcze wybitnie do średniowiecza — lecz przez patriotyzm do czasów nowożytnych. Jej miłość ojczyzny ma w sobie wprawdzie wiele akcentów monarchiczno-feudalnych —

¹⁾ J. Słowacki.

²⁾ Wedle nomenklatury p. Grossek-Koryckiej.

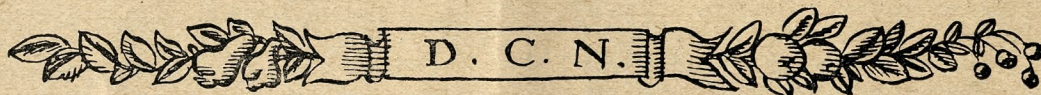
lecz intuicyjnie obejmuje szersze kręgi, a intensywność jego, wybiegając daleko naprzód, zbliża się raczej do atmosfery XIX wieku. To też wiek ten pierwszy dopiero zdołał ją pojąć.

Idee, dla których żyje Dziewica, przedstawiają cudowne bogactwo; łączy je w całkowitą pełnię pojęcia Boga. To bogactwo jest nawskroś zdrowe, że nie wyklucza nawet... zdrowego rozsądku, wprzagniętego jednak zawsze w wyższą służbę.

Bujne życie w tym oderwanym świecie nie stępiło u Joanny żywości emocjonalnej w stosunku do ludzi. Uderza w niej mocne przywiązanie żołnierskie do towarzyszy broni — szczyt ich, to uczucie dla króla.

Jest w niem nietylko średniowieczne oddanie dla suwerena, na śmierć i życie — lecz nieomyślne wycucie tego znaczenia, jakie miała wtedy i na kilka dalszych wieków władza królewska dla skolatanej i niespojonej jeszcze Francji.

W tem, że Dziewica „nie trwała dłużej nad rok” — jest głęboka jakaś, uieuchronna konieczność społeczno-psychiczna. Gdzież dla niej pole w dalszej, przewlekłej akcji, wśród moralnej odbudowy spustoszonego kraju? Jakże ją sobie wyobrazić dojrzalą kobietą?



Z INTELIGENCKIEJ NIEDOLI

(Na marginesie statystycznych wyliczeń).

W Ameryce wygłaszają radja pogadanki o najemnej pracy robotnic. Pani M. B. - Ł. zamiast radja ogłosiła w „Bluszczu” szereg artykułów, przedstawiających ciężką dolę rodzin, w których kobieta zmuszona jest do pozadomowej pracy. Dzieci przychodzą na świat chorobliwe i wątłe, gdy matka nie ma wypoczynku w czasie ciąży. Wzmaga się śmiertelność niemowląt. W progi rodzinne wstępuje rozprzężenie i anarchja. Nie ma kto łączyć w jedno skupione ognisko wszystkich członków domowego zácisza. Chłopców i dziewczyny wychowuje ulica. O wpływie moralnym, o opiece nad zdrowotnością nieletnich mowy być nie może. Z gorzkim wyrzutem zwraca się p. M. B. - Ł. do inteligentek naszych, że nie wiedzą, co robi, co je działania ich posługaczek w czasie nieobecności matki. Podkreśla przewinę i obrazem krzywd, popartych statystyką, wstrząsa grzeszne sumienia.

Wielką wagę mają artykuły naszej znanej ekonomistki, która poza wiedzą ścisłą wkłada w nie dużo serca i współczucia. Ale — do jakich inteligentek mówi p. M. B. - Ł. — tych wczorajszych, które były jak motyle skaczące z kwiatu na kwiat, czy do dzisiejszych, którym przywarły skrzydła do ziemi?

Zapewne — była niejedna wytworna pani doktorowa, inżynierowa, adwokatowa, obszarniczka zamieszkała w mieście przed wojną dla kształcenia dzieci, która nie знаła swojej praczki nawet z widzenia. Starczyło pośrednictwo młodszej, która zanosila jej umówione wynagrodzenie po skończonej robocie. Ale, gdzie jest dziś różowy motyl, fruujący z rautu na raut i nie mający czasu zajrzeć do kuchni? Sama stała przy balji, wzięła miotłę w rękę piękna pani, która dawała niegdyś stały i pewny zarobek niezna-

Może żoną i matką? Starzejącą się, wreszcie starą?

Joanna zbyt jest zjawiskowo piękną, zbyt wyjątkową, aby żyć długo. Wszystko późniejsze musiałoby już ją popsuć, obniżyć, zaćmić — musiałaby albo wsiąknąć w szary tłum, albo się zmanierować, zostać własną karykaturą.

Potężny jej urok ma coś z kwiatu, który musi przekwitnąć, z płomienia, który musi zagasnąć. Lecz ten płomień oczyścił cały naród, ten kwiat wydał owoc wspaniały. Czyż Joanny był z tych, co mają wyznaczony bardzo krótki czas bezpośredniego trwania — lecz promieniejącego poprzez wieki blaskiem dziwnie żywym i twórczym.

Joanna wiedziała sama dobrze, że musi zginąć, mówiła o tem często i nie snuła nigdy dalekich planów osobistych. Czuła się całopalną ofiarą swej idei — zżyła się już zupełnie z tym losem. Lecz roila z pewnością o śmierci na polu bitwy, w ogniu walki — jej temperament wybitnie bojowy zdawał się do tego ją przeznaczać.

Jej żywioł, jej moc, nie w przotrwanu leży! tylko w akcji — olbrzymia jej ofiarność jest wybitne, czynna. To też los zadał jej naturze gwałt straszliwy, narzucając męczeństwo, którego niepragnęła nigdy

nej sobie osobiście Walentowej, Pawłowej, czy Ignacowej. Nad Walentową płaczą radja, szukają jej ankiety, rozpisują się o niej książki statystyczne. A była gwiazda salonów, odkąd przestała wentować, walcować, kwestować na biednych i świecić brylantami butonów, poszła w zapomnienie.

Jeżeli nie troszczyłaś się o dzieci swojej praczki, była lwica salonowa, to dziś nie troszczy się nikt o ciebie, o twoją poniewierkę, o to że syn twój i córka, wyniańczeni przez kursy zagraniczne, skończywszy szkoły, dzięki twoim nadludzkim powojennym wysiłkom, chodzą od biura do biura, szukając i nie znajdując pracy.

Rewolucyjne przełomy, zepchnawszy jedną warstwę w dół, siłą przeciwnieństw wypychają drugą na wierzch. Była taka chwila, kiedy Walentowa mogła nakarmić pajdą chleba z dobrą kiełbasą głodującą panią X, która swój chleb suchy oddawała dzieciom, udając, że sama jest najedzona. Dziś — obie marzą o chlebie z kiełbasą. O Walentowej, wbrew zapewnieniom p. M. B. - Ł., wiemy. O pani X mało, lub wcale. Dawny galant wentowy, spotkawszy ją na ulicy w cerowanych pantofelkach, odwraca głowę w zakłopotaniu, nie wiedząc, co powiedzieć, jak ją przywitać? Przyjaciółka, która jeszcze nie zastawiła, lub nie sprzedała butonów brylantowych, unika jej dyskretnie, żeby czasami przez współczucie (bywają porywy!) nie podzielić się odrobiną tymczasowego swego dobrobytu.

Radja nie mówią, że klęska pani X pociągnęła za sobą klęskę Walentowej. Co setna może inteligentka bierze praczkę do domu. A posługaczkę? Ta tyl-

ko, która sama po za domem jest jak Walentowa, Ignacowa, Pawłowa. Z tą różnicą, że nie przy balji, a przy biurku, w sklepie, w szkole. Kilka groszy większego zarobku, ale taka sama orka od świtu do nocy. I dzieci jej tak samo wychowuje ulica, jeżeli przez atawizm nie mają wstępu do gminnej włóczęgi, gminnych przyjaźni z byle kim. Dzieci... Ah, Walentowa pierwsza je opiece dobrej sąsiadki — praczki, która pierze u siebie w domu, maglarki, krawcowej — chałupniczki. Zepchnięta na dno ubóstwa pani X nie znajdzie takich opiekunek. Wieki nędzy wyrobiły solidarność wśród klas wyrobniczych. Wieki współzawodnictwa w salonach stępiły braterstwo inteligentek. Nie poda ręki zubożałej wdowie po doktorze inżynierowa, lub obszarniczka, bo niegdyś stawały do startów i przestały rozprawiać z sobą, odkąd któraś z nich pierwsza dobiegła do mety. Zachoruje ktoś w izbie Walentowej, schodzą się kumy, radzą, znoszą, co która może. Padnie ciężka niemoc na męża, dziecko, starą matkę dromaderki — inteligentki, biegającej dla swoich, nie poda jej ręki sąsiadka z tych samych schodów i tej samej sfery. Płatać się w cudze sprawy? Dosyć jest swoich kłopotów.

Mieszkają w izbie Walentowej trzy rodziny, zatem kłóć się. Każdy radby być na swoim. Ale przychodzą imieniny, chrzciny i inne ważne obrządki. Przy schabie z kapustą i kieliszku wódki następuje zgoda. Była obszarniczka, czy wdowa po jurskonsulcie nie może przywyknąć do obcych ludzi w swoich rozparcelowanych pokojach. Cudze głosy, cudza bieganina, to jakby skalp żywego ciała.

Marzyła Walentowa o uczciwym, przyzwoitem rzemieśle dla swego syna. Szewc, krawiec, stolarz.

W najśmielszych rojeniach monter... Chybiło. Z roznosiciela gazet poszedł na gońca, z gońca na niewykwalifikowanego robotnika. Jątrzy się serce matczyne, ale z czasem przywyka. Odmawia sobie wszystkiego polski urzędnik. Nie wie, co teatr, książka, kino, znajomi. Przyjmuje sublokatorów do każdego kąta

mieszkania, żeby tylko dać dzieciom naukę. Skończy syn pierworodny wyższą szkołę. Duma i radość. Będzie pomoc. Zapisuje się młody absolwent na giełdę pracy. Czeka. Nic, nic. Aż wreszcie zostaje przyjęty do noszenia cegły przy robotach na zamku. Sześćdziesiąt groszy za godzinę od 6 r. do 3 pp.¹⁾

Czy będziesz mógł utrzymać pióro w zgrubiałych palcach, absolwencie, gdy nareszcie zejdziesz z rusztowania i usiądziesz przy biurku?

* * *

Ginie, trawi się sam w sobie krzyk zdeptanej, sponiewieranej, na dno nędzy wpędzonej inteligencji. Wczoraj powiesił się nauczyciel, który nie mógł utrzymać rodziny. Dziś na cmentarzu zastrzeliła się zredukowana urzędniczka. Do Wisły wskoczył biuralista, który nie miał za co pochować rodziców. O jednych piszą, innych przemilczają dzienniki.

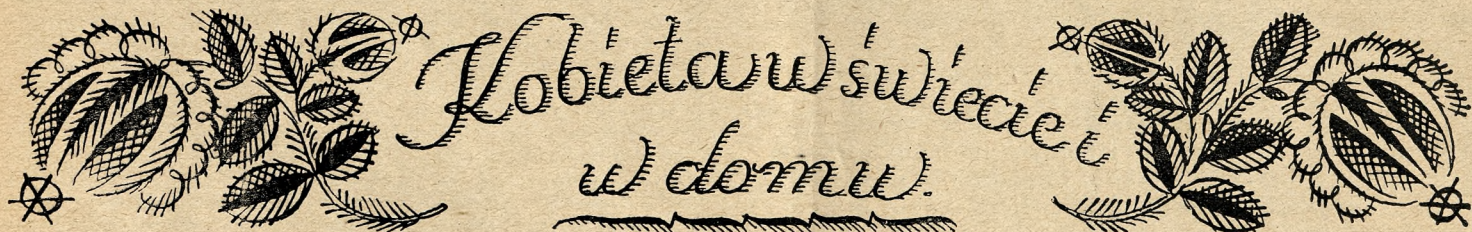
A wyrzuceni z domowych zaciszy, z gniazd rodzinnych, z rajów szczęścia, dobrobytu, spokoju kresowcy?

Budowali na żyznem czarnoziemie fortece dla wolnej Polski. Stawiali granitowe strażnice. Gromadzili skarby kultury. Zwalił huragan granity. Szczelły w stepach skrypty bibliotek. Rozniosły wichry polskie ostoje. Zostały trzy książki wstrząsające. Zdawałoby się, że od ognia ich zapłonie świat...

Trochę o nich pisano. Ale już dosyć. Nędzarz — inteligent nie ma na bibułę, więc nie czyta. A ten, co jeszcze nie zwał się z krawędzi dobrobytu, woli nie psuć sobie nastroju jakąś tam Pożogą, Ostatnią placówką, czy Burzą od Wschodu. Przemknęły, jak błyskawica, pamiątniki naszych kresówek. Dziś już się o nich nie mówi. Przechodzą do porządku dziennego nad nędzą inteligencji polskiej statystyki, ankiety, radja, feljetony. Dyskretnie — za parawan — chowa się łachman doli naszej.

C. Walewska.

¹⁾ Autentyczne. |||



PRZYKŁAD GODNY NAŚLADOWANIA

Posłanka angielska, panna Ellen Wilkinson, odbyła niedawno podróż do Ameryki, celem zbierania funduszy na akcję zapomogową dla żon i dzieci górników angielskich. W agitacji na ten cel uzyskała panna Wilkinson pomoc swej koleżanki, Lady Astor, chociaż ta należy do innego obozu politycznego. Lady Astor, bawiąca teraz również w Ameryce, zgodziła się stanąć na czele komitetu pod nazwą „Ratujmy dzieci“, zdobywając dzięki swym stosunkom znaczne fundusze na cele tego komitetu. Prasa angielska podnosi z uznaniem zgodną współpracę obydwóch tych działaczek społecznych i politycznych, z których jedna należy, jak wiadomo, do obozu konserwatywnego, druga zaś — do postępowego, a które pomimo to potrafiły jednakże znaleźć wspólną platformę do porozumienia się, gdy chodzi o dobro kraju i ratowanie ty-

sięcy istnień od śmierci głodowej. Szczególnie uznanie należy się zwłaszcza pannie Wilkinson, która dla powiększenia funduszy komitetu odbyła podróż do Ameryki i z powrotem trzecią klasą, ofiarowując uzyskaną w ten sposób nadwyżkę w stosunku do ceny zagwarantowanego jej przez komitetu biletu pierwszej klasy, jako dar od siebie. Paniom z zarządu komitetu, które ubolewały nad niewygodami, jakie znosić musiała podczas tej podróży, odpowiedziała panna Wilkinson z uśmiechem, że nie żałuje tego wcale, gdyż dopiero na pokładzie trzeciej klasy zapoznać się można „z prawdziwym życiem okrętu“. Ci jednak, którzy podróżowali do Ameryki trzecią klasą, wiedzą dobrze, w jakich okropnych warunkach podróż ta się odbywa i potrafią ocenić poświęcenie tej dzielnej kobiety, która nie wahała się narażać na największe niewygody byle tylko ulżyć niedoli swych rodaczek.

AMERYKAŃSKA ASTRONOMKA

Pani Eleonora Lamson jest jedną z nielicznych kobiet, które poświęciły się tak trudnemu zawodowi astronomicznemu. Jest ona jedyną kobietą-astronomem w Stanach Zjednoczonych i zajmuje stanowisko wicedyrektora państwowego obserwatorium morskiego. Pani Lamson pracuje obecnie nad wykreślaniem orbit nowoodkrytych komet, oraz zestawianiem katalogu gwiazd stałych.

I CHINKI CHCĄ RÓWNOUPRAWNIENIA

„Equal Rights“ donosi, że studentki uniwersytetu w Kwantung zawiązały się w pierwszy w tym kraju związek równouprawnienia kobiet. Program tego związku wysuwa następujące żądania:

1. Kobiety chińskie mają mieć prawo brania udziału w życiu politycznym.

2. Młodą dziewczętą ma przysługiwać prawo dowolnego wyboru męża (dotychczas wybór ten był dokonywany przez rodziców bez zasięgania nawet, w większości wypadków, zdania córki).

3. Kobiety zarówno zamężne, jak i niezamężne mają mieć prawo zarządzania własnym majątkiem.

4. Prawo spadkowe rozciąga się i na kobiety w takim samym stopniu, jak i na mężczyzn.

5. Kobiety mają mieć takie same prawa do wykształcenia średniego i wyższego, jak i mężczyźni.

6. Na polu pracy zawodowej nie mają być czynione kobietom żadne utrudnienia.

7. Wszystkie dotychczasowe ustawy mają być zmienione w kierunku zapewnienia kobietom całkowitego równouprawnienia pod każdym względem.

PIERWSZA POSŁANKA MEKSYKAŃSKA

Jest nią panna Elvia Carillo Puerto, rodem z Yucatanu, obrana podczas ostatnich wyborów w lipcu r. b. Stawiając swoją kandydaturę na liście poselskiej, Senorita Puerte zaznaczyła, że nie chodzi jej o zaszczyt zasiadania w parlamencie, jako pierwszy jego członek rodzaju niewieściego, lecz jedynie o dowiedzenie przeciwnikom równouprawnienia, że konstytucja meksykańska nie wzbrania kobietom zajmowania nawet najwyższych stanowisk.

STULETNIA STARUSZKA SZUKA PRACY

Zuzanna Page z miasteczka Tulsa w stanie Oklahoma (Stany Zjednoczone) złożyła podanie o przyjęcie jej do fabryki tkackiej w charakterze robotnicy. W podaniu tem zaznaczyła, że liczy sobie już co prawda lat sto dziesięć, ale czuje się zupełnie zdrową i silną i może doskonale pracować, „nie gorzej — jak twierdzi — od wielu młodych“. Kwalifikacje jej na robotnicę tkacką są najzupełniej odpowiednie, gdyż posiada ona dziewięćdziesiąt lat praktyki w tym fachu! Pani Page motywuje swoje podanie koniecznością dostosowania się do postępu czasu, dodając: „Przez dziewięćdziesiąt lat pracowałam w domu, na własnym warsztacie, bo gdy matka moja uczyła mnie tego fachu, w Ameryce wszystkie bez wyjątku kobiety wyrabiały płótna i materiały na ubrania dla siebie i dla całej swej rodziny w domu, na warsztatach ręcznych. I ja robiłam tak samo — a ponieważ niebawem uzyskałam sławę najrzeczniej-

szej pracownicy w całej okolicy, przeto zaczęto mi znosić robotę do domu i wkrótce mogłam z zarobków moich utrzymać całą rodzinę. Obecnie jednak, wskutek rozpowszechnienia się fabryk tkackich, o pracę jest mi coraz trudniej i to mnie zmusza do złożenia mojej oferty w fabryce“. Podobno zarząd fabryki zaangażował natychmiast pracownicą starszą i przeznaczył jej najwyższą pensję, jaką pobierać może robotnica w tej tkalni.

Z. B.



TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ I FERTNERA:

„Ślubne łożo“ komedia w 3 aktach F. Gandery.

Sympatyczny ten teatrzyk ma jedną kardynalną, i. niestety trudną do wybaczenia wadę: brak mu odpowiedniego kierownictwa literackiego. Wybór komedji Zalewskiego „Oj mężczyźni, mężczyźni“ mógł znaleźć jakieś uzasadnienie, ale trudno zrozumieć dlaczego wogóle grać „Ślubne łożo“ Gandery, komedję trzeciorzędą i nieciekawą, i to w takiej właśnie obsadzie? Wybitny talent pani Ćwiklińskiej, jej niezrównany dar prowadzenia dialogu otwiera przed nią daleko większe możliwości, niż podrzędna rólka w lichej farsie, niesmacznej i niedowcipnej. Pan Fertner, którego siłą komiczną znamy wszyscy i oceniamy, jak na to zasługuje, grał tym razem lekkiego amanta. Ten eksperyment zemścił się na panu Fertnerze, ale zemścił się również i na autorze „Ślubnego łoża“, podkreślając niedorzeczności i ciężki dowcip tej nieudanej farsy. Rola bohaterki, młodziutkiej, naiwnej dziewczyny powierzono panie Kościeszance. Zrobić coś z tej roli wogóle było trudno, panie Kościeszance zaś trudniej niż każdej innej.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę nie możemy nie zadać sobie pytania po co i dla kogo grano farsę Gandery? I w jakim celu powstał teatr im. Ćwiklińskiej i Fertnera, który zdekompletował zespół Teatru Letniego i nie poprawił braków jego repertuaru?

V A R I A

Siedm teatrów paryskich ma obecnie w tytule granych en-suite sztuk i rewij wyraz „nagi“. Jeżeli dodamy do tego doskonałą komedję „Naga prawda“ (Theatre de Paris) graną w Warszawie pod tytułem: „Dzień bez kłamstwa“ ilość nagich sztuk podniesie się do ośmiu. Świadczy to raczej nie o tem, że kultura tak bardzo pociąga paryżan, ile raczej o tem, że dzisiejszy „młody Paryż“, Paryż hulający i bawiący się, składa się prawie wyłącznie z czarnych i białych amerykańców. Amerykanie są rasą, której pracowitość na polu handlowym i technicznym musimy podziwiać, nie możemy jednak mimo szczerych chęci zgodzić się na ich pojęcie o sztuce a nawet o zabawie.

W sztuce amerykańskiej zawile jest na nasz smak zupełnie dziecinnej radości z rzeczy zupełnie wulgarnie nieprzystoitych i naiwnie kolorowych (stąd to zamiłowanie do revues, z których zupełnie już wyprano treść i sens) w zabawie zaś do zatracającej szynkowaniami z Texas czy Klondyke hałaśliwości. Podobno w ten sposób odpoczywają nerwy ludzi, którzy w ciągu codziennych ośmiu godzin pracy nie próżnują ani sekundy. Europa jest leniwsza, ale też o wiele mądrzejsza i ciekawsza. Sami nie wiemy co posiadamy. Pomysły amerykańskie przypominają naiwne pomysły Nerona, czy błogosławionej pamięci Tamerlana: spalić 1.000 domów i pokazać 10.000 nagich dziewcząt. Teraz to się trochę więcej tłumaczy: 184 kolory lamp o 5.000 świec, 340 baletnic, które w ciągu 160 minut przebiegają się 27 razy. To jeszcze nie rekord. Dożyjemy 600 dziewic przebiegających się 84 razy w 142 minutach. Za każdą minutę opóźnienia menager płaci widzom po dolarze. Oto amerykańizm, Paryż dzisiejszy, biedny, powojenny inflacyjny Paryż hołduje smakowi amerykańskiemu. Francuzi przestali chodzić do teatrzyków, bo 50 franków wstępu to za drogo na ich nie nadążające spadkowi waluty kieszenie. Ale czy Paryż lubi ten smak? nie. Robi to bo musi, lecz tytuł najnowszej revue granej teraz w teatrze Gaité tłumaczy wszystko: „Amours — dollars“. Rzecz jasna i komentarzy nie wymagająca. Biedny Paryż. Z. P.







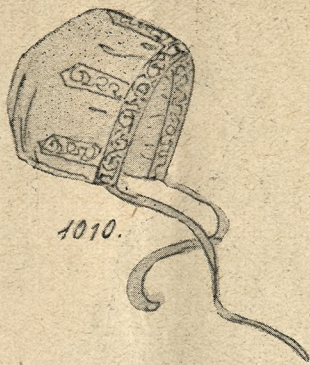
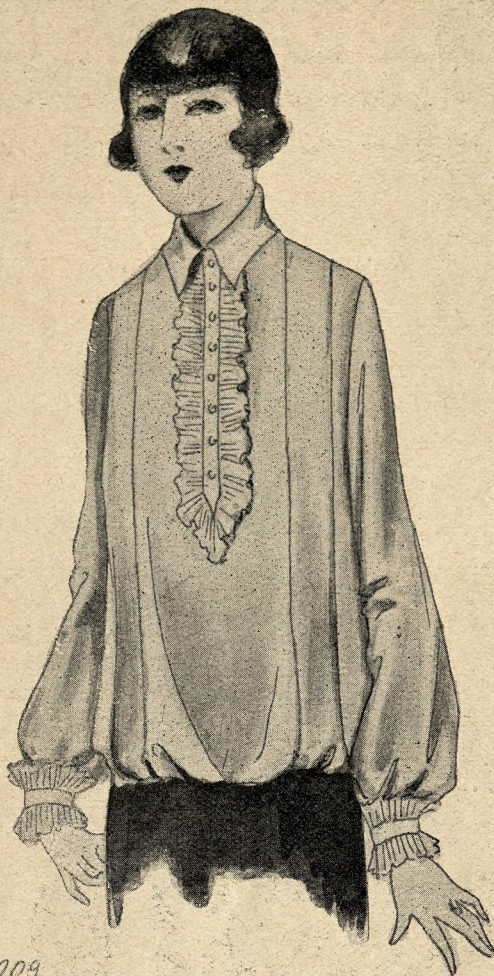
999.

1000.

1001.

1003.





1010.



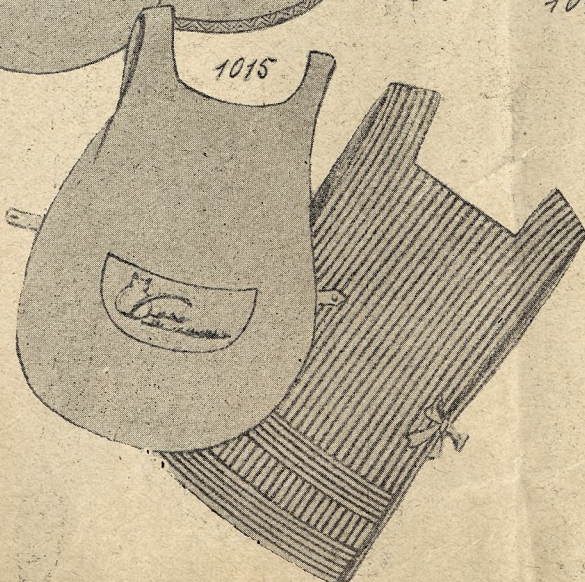
1011.



1012



1014



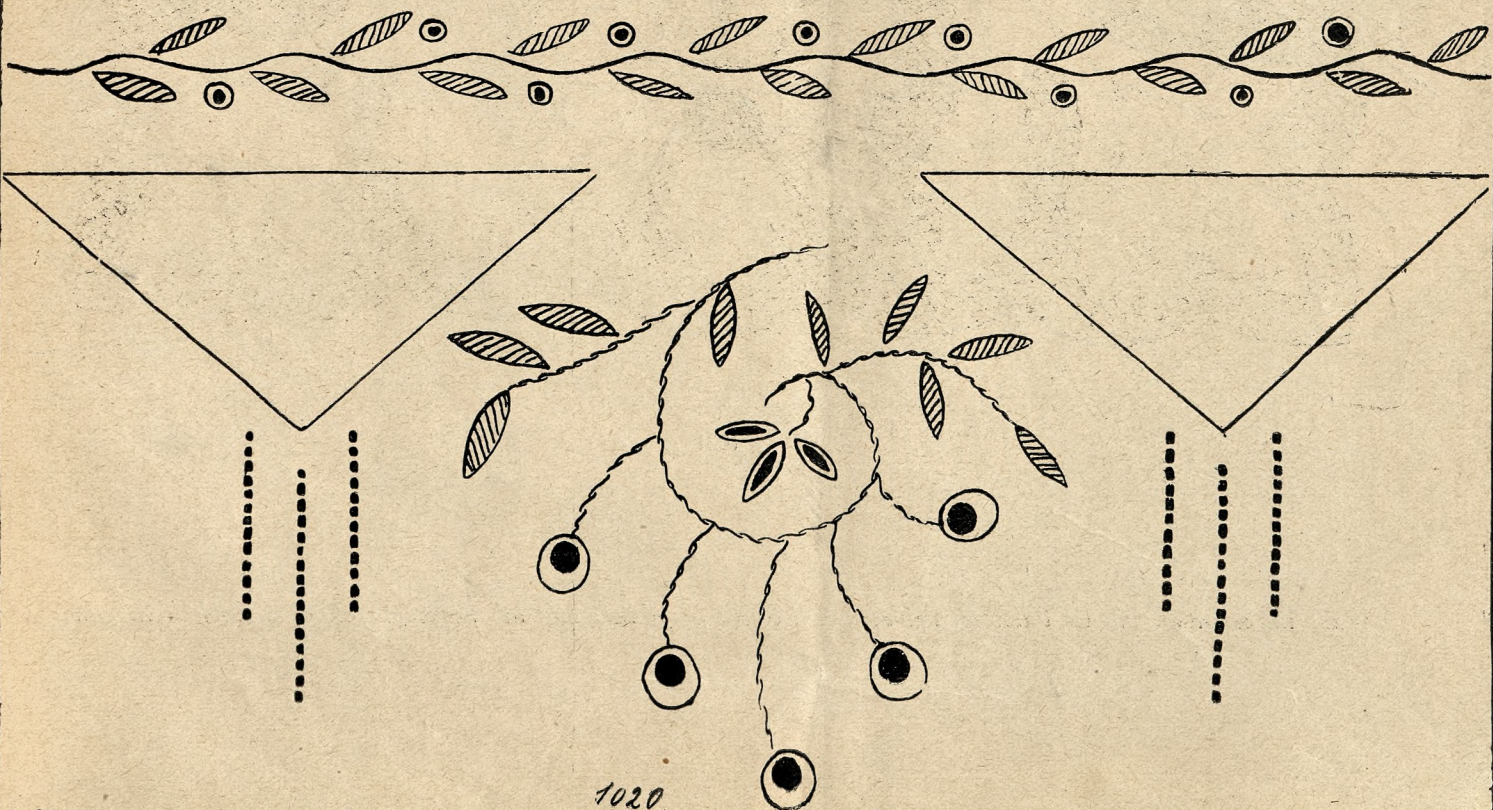
1015

1016.

1016.



1013.

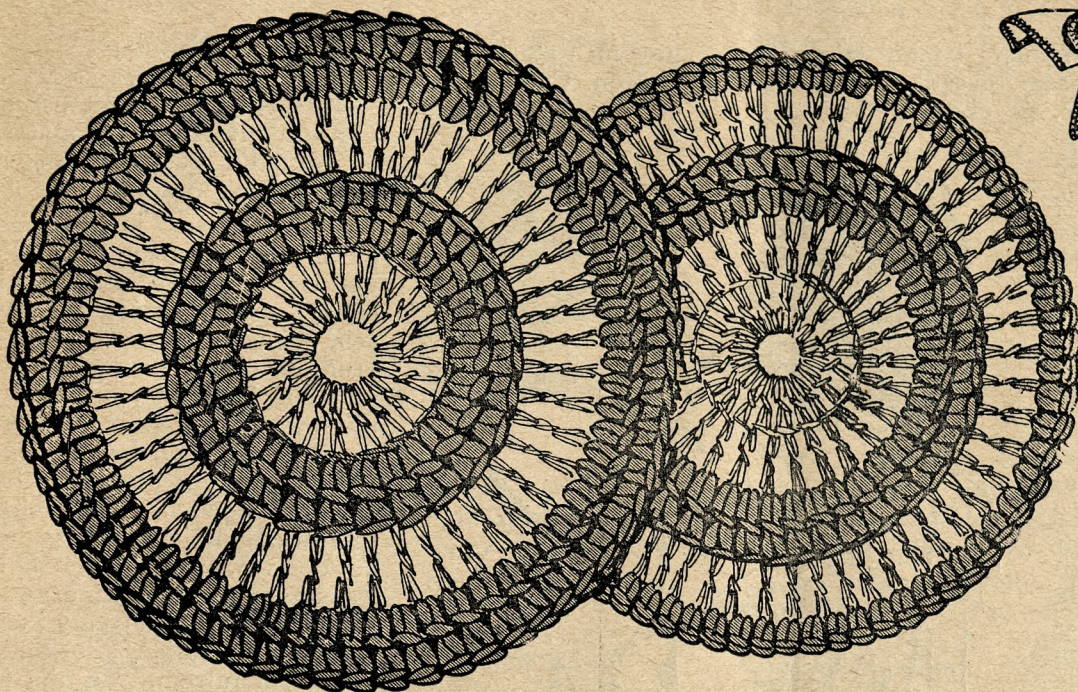




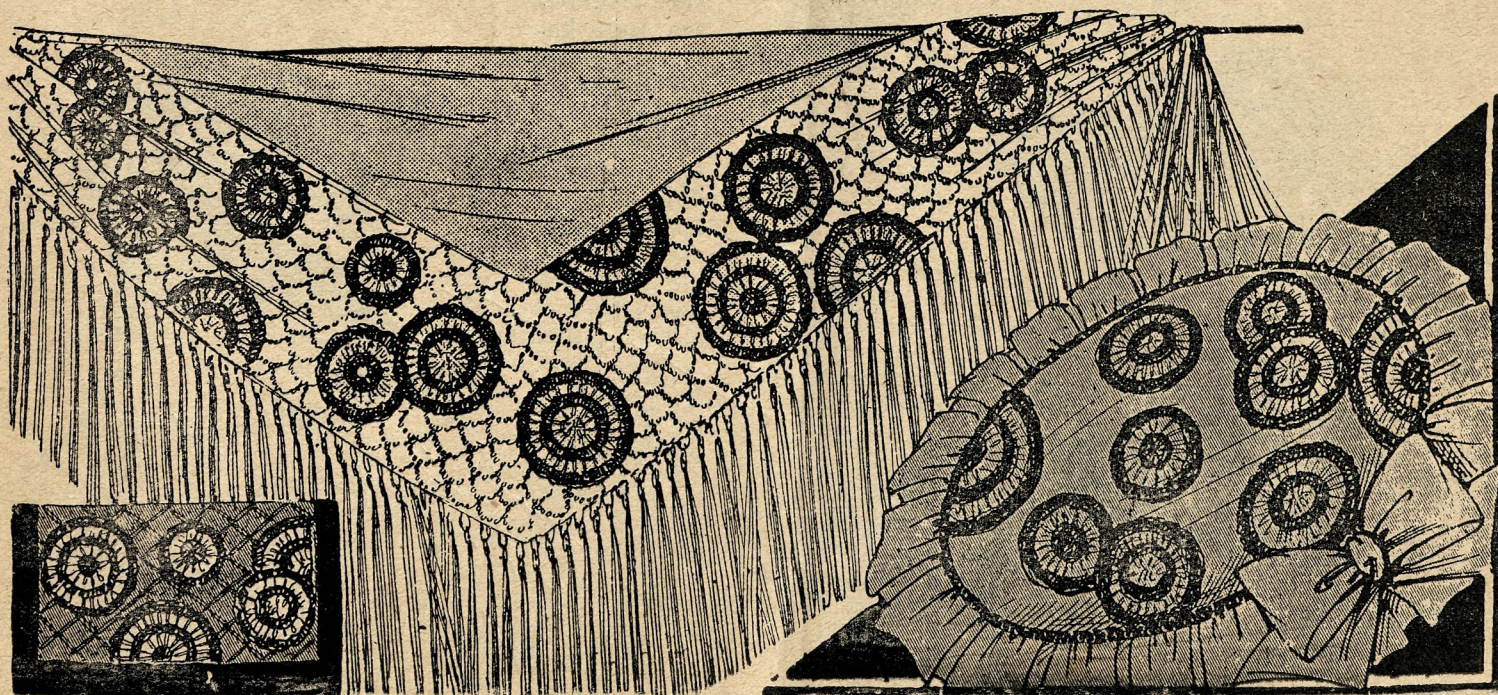
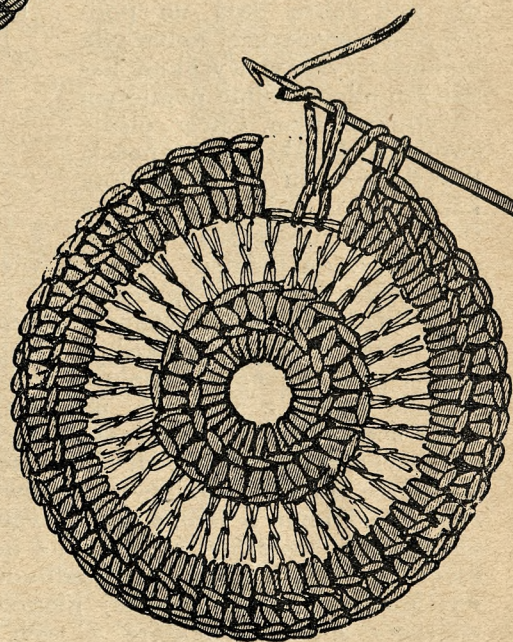
1021

Wzór na serwetkę. Na tle tiulowem aplikacja z batystu przydziergana, lub przyszyta okrętką. Ząbki dziergane.

RÓŻE SZYDEŁKOWE



Nadzwyczaj łatwe w wykonaniu a efektowne w zastosowaniu koła robi się szydełkiem zwyczajnymi słupkami. Cienką złotą lub srebrną nitkę używa się naprzemian z włóczką, bawełną świecą (coton perlé), albo z jedwabiami o żywych kolorach. Każdy z nich robi się ścisłe — dla przeciwstawienia przejrzystości rzędów wykonanych nitką metaliczną. Wielkość i rozłożenie kółek zmienia się stosownie do gustu i potrzeby. Widzimy tu kilka przedmiotów przybranych takimi kołami. I tak chustka z crêpe de chine'u koloru kości słoniowej, obrzeżona jest szeroką wstawką siatki szydełkowej z białego jedwabiu — w którą inkrustrujemy róże lila i fioletowe w kilku cieniach, pomieszczone z nitką srebrną. Otoczona jest szeroką frendzlą z białego lacet. Woreczek w formie koperty, z aksamitu ivoir, przetkany zrecznie złotą nitką przybrany jest kołami w kilku cieniach niewarowych połączonych ze złotą nitką, a obrzeżonych bardzo ciemnym brązowym zwanym tête de nègre. Poduszka okrągła zasiana kółkami różnobarwnymi i różnej wielkości, otoczona falbaną z plisowanej wstążki związanej u brzegu na dużą kokardę. W końcu kamizelka i dostosowany do niej szal z flaneli kremowej urozmaicone różnobarwnymi kołami na końcu szala i przy kieszeniach kamizelki.



KAPELUSZE

Nie darmo Moda jest kobietą i jako taka nie może zbyt długo iść za głosem rozsądku. Nie mogliśmy się jej dość nachwalić, że okazuje tyle tolerancji, pozwalając na zindywidualizowanie sylwetki, że w bezapelacyjnych swych wymogach raczy się jednak liczyć z przepisami zarówno estetyki, wygody i higieny.

To uznanie musiało ją zaniepokoić czy też zniecierpliwić, to też roześmiała się psotnie i stworzyła nasze dziwolagi-kapelusze. Dwie kursują w Paryżu legendy o genezie tego sezonowego kapelusza. Jedna głosi, że któraś z grande vedette paryskich, będąc pod dobrą datą na podmiejskiej wycieczce, zobaczyła kominiarczyka w wysokim kapeluszu odpowiednio pomiętym i wytłuszczonym. Chcąc olśnić swoją hardą ekscentrycznością diwetka nabyła na wagę złota kominiarskie nakrycie głowy i tak wyczupierzona wróciła do Paryża. Za tydzień wszystkie wielkie magazyny mód prześcigały się w dokładnem kopjowaniu nowego kapelusza modnej gwiazdy. Druga wersja głosi, że nowe kapelusze wprowadziła jedna z wielkich modystek, która spędziwszy dłuższy czas w Afryce, stylizowała w swoich kreacjach kapelusze tubylców. Obie wersje mówią za siebie. Si non é vero, é ben trovato. Ostatecznie jesteśmy skazane na noszenie na głowie łokciowej nadbudowy, pomiętej w najbardziej nieprzewidziany sposób. Niektóre z tych kapeluszy są tak ciężkie, że po upływie pół godziny są w stanie spowodować migrenę. Ronda na ogół są znacznie mniejsze, przeważnie bardzo kapryśne po wyginane.

Czasem odwiniete z przodu lub z boku, czasem spuszczone na oczy. Bardzo często krajane w kształcie kloszowej falbany i obszyte bardzo cienkim igietkim drucikiem. Oczywiście sezo-

nowym materiałem jest aksamit, najładniejszy velour chiffon. Często robi się kapelusze całe wymarszczone, co potęguje wrażenie fantastycznego zmietoszenia.

Czasem układa się materiał w zakładki zastębnowane lub fantastyczne draperje.

Szczęśliwe jest łączenie aksamitu z rypсовą wstążką, ułatwia to przejście do kapeluszy rypсовych, które z pewnością będziemy nosiły już w grudniu, chcąc koniecznie wyprzedzić jaskółki w zwiastowaniu wiosny. Wielką faworytką sezonu jest pilśń bardzo lekka i ładna, niestety również i bardzo kosztowna. Z kolorów stanowczo najmodniejszy jest lie de vin, przesliczny kolor jesiennego dzikiego wina, awantażowny dla każdej cery i włosów, harmonizujący doskonale z każdym futrem. Za nim idą szaro zielony, popielaty i granatowy i połączenie tych dwóch ostatnich. Ciemny fiolet i lilas de parme są mniej popularne, ale również zaliczają się do barw modnych w tym sezonie.

Ensemble pozostaje zawsze ideałem każdej eleganckiej kobiety, a więc jednokolorowa harmonia całej toalety od pantofelka do kapelusza. Że jednak taka harmonia jest przy wzrastającej drożyznie i uszczuplonych budżetach naprawdę bardzo niewiele dostępna, trzeba tylko pamiętać o tem, aby kolory poszczególnych części toalety ze sobą harmonizowały, a można i w kontrastujących kolorach otrzy-

mać bardzo ładne i oryginalne efekty. Jako reguła przy ciemnej, neutralnej sukni szczęśliwie uwydatnia się jaskrawa nuta kapelusza. Można dobrać haft przy sukni, krawat lub torebkę do koloru kapelusza, a otrzymamy wrażenie bardzo wyszukanej elegancji.

Paryżanki dobierają kolor kostiumu do koloru auta, a kamizelki i kapelusze do koloru derki na nogi. Humorysta z Vie Parisienne radził paniom,



posiadającym własne „châteaux” lub chociaż fermy, aby dobierały wszystko, co je otacza do koloru włosów lub toalety.

Więc piękność będąca w żałobie hodowałaaby wyłącznie kare konie, czarne indyki i pudle. Dama gustująca w kolorze popielatym szare dogi, myszate konie i siwe gęsi.

Złotoruda Dyana w płowej amazonce, na kasztanie, ze sforą płowych chartów, musiałaby ścigać oczywiście jelenia, co by prześlicznie wyglądało na tle je-

siennego pejzażu. Ale musimy zostawić podobne, skądinąd malownicze pomysły ilustratorom pism humorystycznych, a same trzymać się w granicach zdrowego rozsądku i ramach (ach, jakież to nudne!) skromnego budżetu. Choć obawiam się, że mimo wszystko, nastręczyliśmy dość tematu naszym karykaturzystom, gdy wszystkie posłusznie przywdziejemy owe pomięte i przekrzywione kominiarskie cylindry, jakie nam bezapelacyjnie narzuca w tym sezonie wszechwładna pani Moda.

Well.

BIERZ TO Z UŚMIECHEM...

(KEEP IT SMILING)

Tę trzy mocne i radosne słowa pełne słonecznej treści przysły do nas po szlaku wód, które dzielą stary i smutny świat od pełnej sprężystości i pogody Nowej Ziemi.

Zasada amerykańska „keep it smiling” jest poniekąd odzwierciedleniem duszy narodu jego zdrowej wygimnastykowanej psychiki i krzepkiego ciała,

Przeszczepienie jej na grunt naszego bytowania na pierwszy rzut oka rzecz to trudna i omal że niedościgniona. A jednak w rozwiązywaniu zawiłych problemów jesteśmy poniekąd mistrzyniami.

Siostrzycom naszym z za morza łatwiej wprowadzić „brać to z uśmiechem”, zważywszy, że żyją w szczęśliwym kraju, gdzie na jedną głowę przypada ni mniej ni więcej tylko 500 dolarów, a na pięć osób jeden szybkieżny samochód, który pozwala im na częsty i stały kontakt z naturą, na rozkoszny pęd w przestrzeń co taki szeroki lot daje wyobraźni.

Nie chcąc się zagłębiać w dane statystyczne, które przynieść nam muszą łzawe wyniki wystarczy stwierdzić fakt, że warunki, wśród których żyjemy, więcej niż mało sprzyjają wszelkim słonecznym teorjom. Życie nasze kroczy jak dotąd ścieżką pełną wyboi, o głębokich koleinach tak zwanej polskiej drogi, której symbolem jest stan ciężki do przezwyciężenia, nawet dla lekko skrzydłego Forda, co zwykł zwalczać najcięższe trudności. Dlatego też o pionierów i pionierki „uśmiechu” trudno nad wyraz.

Ażeby zrozumieć cały ogrom dobra jaki mieści w sobie wyznawana w Ameryce zasada, wystarczy wczuć się w nią należycie i docenić ważki jej wpływ na bieg naszego społecznego i domowego bytowania.

My mamy naogół podłoże sentymentalizmu i jeżeli ludzie, którzy zamieszkują Amerykę, biorą życie z uśmiechem, u nas skłonniejsi są do brania go, jeżeli już nie z leką, to chociaż z chmurą na ponurem czole. Za brakiem słoneczności idzie brak dobrotliwego wyrozumienia, za nim znów ogólna, a tak przykra w społeczeństwie naszym wada, nadmierne zamięłowanie do krytycyzmu i podstawowy brak uprzejmości, której nie posiadając sami, nie możemy nauczyć młodego pokolenia.

Terenem najodpowiedniejszym do szczepienia na dziczku naszej smutnej psyche kwiatu uśmiechu jest dom i rodzina, ogrodniczka, która z miłością podając się tej pracy jest zdolna będzie w tym wypadku, jak i w wielu innych, a niemniej ważnych—kobieta.

Pierwszą i ważną cechą, jaką przystępując do tej wdzięcznej i slicznej w wynikach pracy posiadać musi, będzie niezaprzeczenie podstawowa równowaga ducha, okiełznanie nerwów, wyzbycie się nadmiernej

wrażliwości i czułościowości, bez wyeliminowania jednak aksomitnego dotknięcia, które jest jej walorem i urokiem l'éternel féminin.

Zgodzą się Panie ze mną łatwo, że pomimo tak ważnego i wielkiego miejsca, jakie zajmują na świecie mężczyźni, my mamy od wieków, kiedy się nikomu nie śniło uznać publicznie i głośno praw naszych, wszechpotężne królestwo, a rządy w niem sprawujemy odpowiedzialne. Chowając jednostki, kształtujemy społeczeństwo i za duszę jego jesteśmy winne zdać rachunek. Jeżeli z gniazda naszego wyfrunie w świat pisklę o silnych łotkach i zrównoważonej umysłowości, na duszy i ciele czyste, promienne i pogodne, zakładając rodzinę wplecie w nią element dobra jakie wyniosło ze środowiska, co je urabiało, siłą słoneczności odgradzi i swoich i siebie od destrukcyjnego pesymizmu zabijającego twórczą radość życia, pesymizmu z którego może się zacząć moralny upadek.

Chowanie dzieci w atmosferze pogody i czystości, w najwcześniejszym poczuciu odpowiedzialności za własne czyny, wygimnastykowanie ich w sztuce panowania nad sobą i silnego trzymania się w rękach, wyeliminowanie z ich młodej, wrażliwej wyobraźni nieracjonalnego ustosunkowania do śmierci, która jest przecież koniecznym finałem naszej ziemskiej wędrówki, wpojenie w nich przekonania, że najważniejszym nie jest to, iż życie skończyć się musi, a to jak go, krótsze czy dłuższe, zużytkować będziemy umieli, wszczepienie w ich młodociane duszyczki poczucia sprawiedliwości, oto najlepsze środki pedagogiczne, które dadzą im w następstwie poczucie własnej wartości, spokój sumienia, na podłożu których łatwo zakwitnie ten bezcenny sposób brania życia z uśmiechem. Albowiem poczucie największej siły i równowagi, to oddźwięk przeświadczenia, że spełnionem zostało wszystko to, co nakazywał nam obowiązek względem drugich i siebie. Wtedy powiedzieć możemy z wysoko podniesionym czołem, jeżeli uparty los stanie jeszcze po stronie naszych wrogów „age quod agis”, — czyn jak czynisz. Bo wyrzut sumienia to rdza co najszlachetniejszy metal zniszczy i przegryzie, to wróg wewnętrznego i zewnętrznego uśmiechu.

Idąc ścieżką własnych przemyśleń i przeżyć widzę jasno, że w życiu naszym podstawową rolę odgrywa brak umiejętności co zamyka się w kilku mądrych, słowach: doceniać, a nie przeceniać. I oto znów teren żyzny, na którym uśmiech łatwo kultywowanym będzie.

Doceniać radośnie i szczerze wszystko dobre, jasne i promienne, nie przeceniać drobnych ukąszeń losu, bo wszak każdy wie, że los to rajski ptak o cud-

ných skrzydłach, grających w słońcu gamą, to swawolny chochlik o cechach syreny, co srebrzystym głosem nuci pieśń o szczęściu, to zwodnica z żądłem osy, co sto razy ukłuje zanim kojącą dłoń do rozognionej przytuli rany.

Żądać za wiele od życia i losu to błędna ścieżka, której kamienie łatwo poranią naodporniejsze stopy, bo wielu jest powołanych ale mało wybranych — cała mądrość — umieć spić miód z kielicha skromnych przydrożnych kwiatów, jeżeli nie dano nam pochylić pożądliwych ust nad cieplarnianą rośliną pełną upojnego smaku i woni.

Zadawałniać się małym nie znaczy jednak abdykować z pragnień ale zadawałniać się tem co nam przypadło w udziale, nie zapomnieć nigdy, że tylko u wrót piekła jest miejsce na sentencję — zostawcie wszelką nadzieję — wy, którzy przekraczacie tę progi.

Wiara w dobre jutro to źródło pogody i śmiechu, a czerpać ją można z wiary w siebie, co mieszkanka jest zdrowego ciała, które kolebką bywa zdrowej duszy. Trud rozstrząsania psychologicznych problemów na papierze równa się friwolnej igraszce w porównaniu z umiejętnością przystosowania do życia wszelkich wyników z racjonalnego rozumowania dorobków, bo trzeba kierować się zasadą, najpierw żyć — filozofować potem, dlatego też w obliczu naszego dzisiejszego bytowania, warunków, które stwarza chwila, a co najważniejsze atmosfery, jaka urabiała dotąd młode dusze, trudno przystosować całą rozciągliwą mądrość tego, co dałoby się osiągnąć, gdyby kwiat naszego istnienia był kultywowany racjonalnie od powicia i sadzony na odpowiedniej glebie.

W mocy naszej jest jednak niezaprzeczenie stworzyć dzieciom warunki, których brak tak dotkliwie odbił się na ukształtowaniu naszej duszy, tchnąć w nich moc duchową, dać im sprężystość i siłę.

Czynnikiem pomocniczym w pracy nad urabianiem duszy młodego pokolenia są niezaprzeczenie warunki zewnętrzne w jakich wzrasta dziecko. Innymi oczami na świat patrzy jednostka, której młode życie rozwija się wśród kwiatów i słońca w jasności czyстых i ładnych ścian, w atmosferze piękna i pogody, a nasze warunki mieszkaniowe stanowią po temu trudną do zwalczenia przeszkodę.

Rzadko spotyka się rodzinę, która może zdobyć się na luksus uwicia swoim pisklętom gniazda skapanego w słońcu, królestwa, które odgrodzone jest od wstrząsów domowego życia, królestwa nienaruszalnego w swych prawach i przepisach. Dzieci nasze narażone najczęściej na dzielenie ze starszymi pokoi są zawsze i stale zagrożone w potrzebach i pragnieniach swoich, albo krępują i męczą, albo są krępowane i męczone. Obija się o nie fala gorączkowego życia i zdenerwowania, chłoną bezwiednie wszystko to co emanuje z walki o byt, z trosk i niezadowolonych otoczenia.

Świetlana ich duszyczka przesiąka trucizną, a na uśmiech dziecięcych warg pada cień co gasi go zanim rozwinie się promienny kwiat.

Nie doceniamy jeszcze jednej bardzo ważkiej sprawy — przykładu. Przykład to broń obosieczna. Zda się często, że zły przykład działa odwrotnie, nie można jednak budować na tem nadziei, uspakajając własne sumienie przeświadczeniem co daje wiarę, że z zgłębienia zła, jakie nas otacza, idzie siła unikania go w przyszłości. Jeżeli dziecko wzrasta w atmosferze zawziętej złości, ponurego pesymizmu i zniechęcenia, musi być obdarzone wybitną dozą słoneczności, aby zdołało wyłamać się z pod zgubnych wpływów i ponieść ze sobą w świat racjonalne ustosunkowanie się do życia i ludzi. Przedwczesne zgorzknienie wyrasta na podłożu duchowym wynikającym z warunków otoczenia i na niedomaganiu cielesnym, które odbija się tak silnie na całokształcie usposobienia. Dlatego też nigdy dosyć dbałości o zdrowie moralne i nigdy za wiele starań o zdrowie cielesne młodego pokolenia.

W tę doskonałość całokształtu taranem bije tysiące trudności, z których dwie wysuwają się na pierwszy plan i są zagorzałymi wrogami najcudowniejszych zamierzeń. Pierwsza to brak dostatecznego przygotowania do macierzyństwa i roli, jaka przypada kobiecie w wychowywaniu dzieci łącznie z niedostatecznym docenieniem i przemyśleniem tej nad wszystko ważnej sprawy — druga to smutne i ciężkie nasze warunki materialne, o które rozbijają się niejednokrotnie najlepsze chęci.

Umęczenie, jakie wypływa z ciągłej walki o byt, konieczność dzielenia się pomiędzy domem, rodziną, a pracą zarobkową, miernota warunków, ciemne, ciasne, niehigieniczne mieszkania, ciągła troska o zagrożone jutro, lęk przed niezabezpieczoną przyszłością, pogwałcenie własnego ja, co ma przecież tyle praw do życia i szczęścia, a przekreślać się musi i składać wszystko co dnia, co godziny na ołtarzu samozaparcia i poświęcenia — oto okoliczności łagodzące, które przemówić muszą w obronie kobiety, jeżeli ugodzi w nią ciężki pocisk zarzutu.

Nasze pokolenie nosi w sobie taki widomy odciśnięty buta ciemności, taki głęboko demoralizujący wpływ wiekowej niewoli, że za niejednego ciężki grzech winić je trudno i trudno przeschępić na jego grunt promienny uśmiech narodów i pokoleń, co rodziły się pod znakiem wolności.

Pokolenia, które idą i przyjdą po nas wolne będą od ciężaru tragedii dziejowej, wzrosną w siłę poczucia swoich praw i swojej odpowiedzialności, a ci co stoją u steru muszą doceniać odpowiedzialność jaka ciąży na nich, odpowiedzialność za wytworzenie warunków, sprzyjających wydaniu ze siebie przez jednostki maximum dobra i owocnego czynu.

Dopiero na niwie racjonalnego wychowania i rozumnej współpracy wszystkich warstw społeczeństwa wykwitnie niezawodnie w przyszłości pogoda ducha, a nad naszym zdrowem i silnym społeczeństwem dnia jutrzejszego wzejdzie słońce promiennej amerykańskiej zasady i beczenna mądrość, co pozwoli — „brać to z uśmiechem.“

W. N...cka.



POLSKA WSPÓŁCZESNA

Sejm i Senat zostają zwoływane, otwierane, odraczane, [zamykane i rozwiązywane przez Prezydenta Rzeczypospolitej. Pierwszy w polskiej praktyce konstytucyjnej przypadek zamknięcia sesji sejmowej przez Prezydenta miał miejsce przed kilku tygodniami, po ukończeniu debat nad wnioskiem rządowym o budżet na ostatni kwartał b. r. Zupełnie rozwiązać Izby, przed upływem czasu, na który zostały wybrane, może Prezydent Rzplitej, na wniosek Rady Ministrów, lecz musi to uczynić umotywowanem orędzim i raz tylko z tego samego powodu. W takim wypadku, jak również i w wypadku rozwiązywania Izby z powodu upływu kadencji, nowe wybory winny odbyć się w ciągu 90 dni od daty rozwiązania — w terminie, jaki Prezydent Rzplitej określi w orędziu rozwiązującym.

Jednym z ważniejszych uzupełnień wprowadzonych do Konstytucji przez ustawę z dn. 2 sierpnia b. r., jest ograniczenie praw Izby w kierunku kontroli nad budżetem Państwa. Mianowicie, według nowego brzmienia art. 23 Konstytucji, Rząd obowiązany jest przedstawić Izbie projekt budżetu nie później, niż na 5 miesięcy przed rozpoczęciem następnego roku budżetowego. Sejm obowiązany jest rozpatrzyć projekt i ustalić budżet w ciągu 3 i pół miesięcy od dnia złożenia przez Rząd, Senat zaś dokonać rewizji takiej uchwały sejmowej w ciągu dni 30. Poprawki Senatowi Sejm musi rozpatrzyć w ciągu dni 15-u. W razie, jeżeli terminy te nie są przez Izby dotrzymane, Prezydent Rzplitej ogłasza budżet jako ustawę w brzmieniu przyjętem, bądź przez Senat, bądź wreszcie w brzmieniu projektu rządowego, o ile ani Sejm, ani Senat w terminie uchwał nie powzięły.

Rozdział III Konstytucji mówi o władzy wykonawczej.

Jak to ustala artykuł II Konstytucji, organem władzy wykonawczej jest Prezydent Rzplitej łącznie z odpowiedzialnymi ministrami.

Prezydent Rzplitej wybierany jest przez Sejm i Senat połączone w Zgromadzenie Narodowe. Prezydent Rzplitej sprawuje swój urząd przez lat 7. Wybory nowego Prezydenta odbywają się w ostatnim kwartale urzędowania prezydenta, lub też natychmiast po opróżnieniu urzędu Prezydenta przed upływem kadencji. W razie niemożności sprawowania urzędu — a także w razie przedwczesnego opróżnienia urzędu, przez Prezydenta, zastępuje go Marszałek Sejmu.

Do kompetencji prezydenta należy podpisywanie i ogłaszanie ustaw w „Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej”. Nadto wydawanie rozporządzeń wykonanych do ustaw, wydawanie zarządzeń z powołaniem się na ustawę i zapewnienie przeprowadzenia przepisów prawnych użyciem przymusu. Te ostatnie prawa przysługują także, w swoim zakresie, poszczególnym ministrom i podległym im władzom.

W czasie, gdy Sejm i Senat są rozwiązane, może Prezydent wydawać w razie nagłej konieczności państwowej rozporządzenia z mocą ustawy, za wyjątkiem rozporządzeń dotyczących zmiany Konstytucji i ordynacji wyborczej, lub rozporządzeń dotyczących budżetu, poboru rekruta, obciążenia, lub zbycia majątku państwowego, zaciągnięcia pożyczki, nałożenia nowych podatków, ustanowienia cel i monopolów, kontroli parlamentarnej nad długami, umów zagranicznych, wymagających zgody Sejmu, wypowiedzenia wojny i zawarcia pokoju, oraz rozporządzeń określających konstytucyjną odpowiedzialność ministrów.

Nadto ustawa może upoważnić Prezydenta, także i w zwykłym czasie, do wydawania rozporządzeń zastępujących ustawy.

Prezydent Rzplitej jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych w Państwie, lecz nie może być naczelnym wodzem w czasie wojny. Do kompetencji Prezydenta należy reprezentacja Państwa na zewnątrz, wyrażająca się przez przyjmowanie posłów państw obcych, mianowanie własnych i zawieranie umów zagranicznych — przyczem umowy obciążające finansowo Państwo, zawierające przepisy obowiązujące obywateli, wprowadzające zmianę granic, lub ustanawiające przymierza wymagają zgody Sejmu.

Także wypowiedzenie wojny i zawarcie pokoju dokonywane jest przez Prezydenta, lecz za uprzednią zgodą Sejmu.

Prezydent posiada prawo darowania i złagodzenia kary, jednakowoż tylko w poszczególnych wypadkach i za wyjątkiem kar — na które zostali zasądzeni b. ministrowie na skutek postawienia ich w stan oskarżenia przez Sejm.

Prezydent sprawuje swą władzę przez odpowiedzialnych przed Sejmem ministrów i podległych im urzędników.

Prezydent Rzplitej nie jest odpowiedzialny ani parlamentarnie, ani cywilnie. Za zdradę, za pogwałcenie Konstytucji, lub za przestępstwa karne — Prezydent może być pociągnięty do odpowiedzialności przez Sejm, większością $\frac{3}{5}$ co najmniej połowy ustawowych członków — przyczem sprawę taką rozpatruje Trybunał Stanu.

Każdy akt rządowy Prezydenta musi być podpisany przez właściwego ministra — który w ten sposób bierze zań odpowiedzialność.

Ministrowie tworzą Radę ministrów pod przewodnictwem Prezesa Rady Ministrów. Prezesa Rady ministrów i Ministrów mianuje Prezydent Rzplitej. Liczbę i zakres działania ministrów ma określić osobna ustawa — która dotychczas nie została wydana. Obecnie ministrów jest 12. Rada ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność parlamentarną i konstytucyjną za ogólny kierunek działalności Rządu. Taką samą odpowiedzialność ponoszą indywidualnie wszyscy ministrowie za działalność w zakresie swoich uprawnień. Odpowiedzialność parlamentarna ministrów wyraża się w tem, iż każdy minister, a także cała Rada ministrów ustępują na żądanie Sejmu. Odpowiedzialność konstytucyjna zostanie określona osobną ustawą, przyczem Konstytucja przewiduje, że ministra może postawić w stan oskarżenia Sejm, większością $\frac{3}{5}$, a rozpoznanie sprawy i wydanie wyroku należy do Trybunału Stanu, który składa się z Pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, oraz z 12 członków wybranych przez Sejm i Senat z poza ich grona.

Ministrowie wykonywują swoje zadania przy pomocy podległych urzędników. Każdy urzędnik musi podlegać odpowiedniemu ministrowi, który za jego działalność odpowiada przed Sejmem. Dla celów administracyjnych państwo podzielone zostanie na województwa, powiaty i gminy, które jednocześnie będą jednostkami samorządowymi. W organizacji administracji przeprowadzona będzie, wedle Konstytucji zasada dekoncentracji, zespolenia i udziału obywateli w wykonaniu zadań urzędów. Pod dekoncentracją należy rozumieć załatwianie spraw miejscowych przez miejscowe urzędy, a pod zespoleniem — złączenie rozmaitych urzędów państwowych w jednym woje-

wództwie i starostwie w jeden urząd, pod jednym zwierzchnikiem. Odwołanie się do orzeczeń władz administracyjnych będzie przysługiwało tylko do jednej wyższej instancji — a od orzeczeń karnych — do sądu. Do orzekania o legalności aktów administracyjnych zostanie powołane osobne sądownictwo administracyjne, oparte na współdziałaniu czynnika obywatelskiego i sędziowskiego — z Najwyższym Trybunałem Administracyjnym na czele.

Obok urzędów administracyjnych, państwowych — konstytucja przewiduje istnienie opartego, na szerokiej podstawie samorządu terytorjalnego, posiadającego własne źródła dochodu i swój zakres działania, a nawet stanowienia ustaw lokalnych. Jednostkami samorządu będą, jak powiedziano powyżej — administracyjne jednostki terytorjalne. Działalność samorządów terytorjalnych pozostaje pod nadzorem Państwa, a orzeczenie o legalności aktów administracji samorządowej — należeć będzie do sądów administracyjnych.

Rozdział IV Konstytucji mówi o ustroju sądownictwa. Według tego rozdziału, sędzia jest niezawisły i podlega tylko ustawom, a Sady wymierzają sprawiedliwość w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej i orzeczenia ich nie mogą być zmieniane ani przez władzę ustawodawczą, ani przez wykonawczą. Sędziowie są w części mianowani przez Prezydenta, w części zaś pochodzą z wyboru przez ludność. Mogą być złożeni z urzędu, a nawet przeniesieni na inne miejsce urzędowania, tylko mocą orzeczenia sądowego, pociągani do odpowiedzialności karnej i więzieni mogą być sędziowie tylko za uprzednią zgodą właściwego sądu.

Organizacje sądów w Rzplitej i tryb postępowania przed sądami określają, lub określają osobne ustawy. Konstytucja ustanawia tylko Sąd Najwyższy do spraw Sądowych cywilnych i karnych i ustala, że do orzekania o zbrodniach zagrożonych cięższymi karami będą powołane sądy przysięgłych. Nadto Konstytucja orzeka, że rozprawy przed sądem, zarówno w sprawach cywilnych, jak karnych są jawne, za wyjątkiem wypadków przewidzianych w ustawach, oraz, że sądy nie mają prawa badania ważkości ustaw prawomocnie ogłoszonych.

(c. d. n.)

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

R O K O K O

Z kolei zagłębmy się w drugą, niemniej ciekawą epokę-rokoko. Lecz wpierw parę uwag. Otóż w wielkiej ciągłości historii sztuki widzimy co pewien czas, jakby powrót do jakiegoś minionego okresu. Gdy zginął pogański Rzym niezmiernie powoli rozwinęła się chrześcijańska sztuka, doszedłszy potem do wspólności romańszczyzny i gotyku. I oto nastąpił w jakimś XIV wieku znów zwrot ku światu antycznemu. Tylko że siła twórcza ówczesnych ludzi oparłszy się na wzorach klasycznych potrafiła stworzyć nową świetną sztukę odrodzenia. Do tego świata antycznego powrócono znów w wieku XVIII, gdy w 1751 roku Sufflot buduje kościół św. Genowefy obecnie Panteon w Paryżu. A potem za Napoleona architektura, meble, stroje kobiece — opierają się na formach rzymskich. I jeszcze jedno: każdy wielki okres w dziejach sztuki można podzielić na trzy etapy, jak ludzkie życie. Dla okresu od XV po XIX wiek będziemy mieli młodzieńczą pełnię sił — renesans; zupełny rozkwit, rzekłbym i ociążałość, lat średnich — barok; wreszcie zamierającą starość, przepiękny uśmiech — rokoko. Jest ono schyłkiem, konaniem potężnego okresu; zdegenerowanym, skarłałym potomkiem wielkiego renesansu. Patrzymy na rokoko, jak na ostatnią gałązkę starego drzewa, na ostatni oryginalny rozwój kształtu, przed przeszczepieniem nowego pędu, właściwie najstarszego — klasycznego.

I znów jak zawsze będziemy mieli moc analogii między charakterem społeczeństwa, a formą sztuki, zaś przede wszystkim wnętrza. Jakże innemi od ludzi renesansu byli ludzie rokoka, choć cała moc dawnych wad przeszła i do nich, wciąż byli brudni i niechlujni, wciąż panowały przesady i czary.

Rozwinęły się nowe cechy: wytworność, subtelność, zniechęcałość, przesada. Ludzie zmaleli. Niema olbrzymich poczynań, zamierzeń, niema rozmachu, siły. Życie płynie w marmurowym korycie, sączy się jak strumień po łące, mdłe, duszne. Pozostała waleczność. Wszak są oni potomkami rycerzy. Wciąż kwitną pojedynki, lada powód wyciąga szpadę z pochwy, owe

ostre rożenki, którymi było łatwo przebić przeciwnika. Walczące wojska ustępują sobie pierwszego strzału kłaniają się kapeluszami, kładą rękawiczki i piórpusze, lecz walczą dzielnie, choć coraz rzadziej.

Zaś na codzień zwątpiały pan maluje się i pudruje, kładzie na siebie cienką przedkę koronek i jedwabiu, ażury pończoch, misterną peruczkę i trzyma lorgnon wraz ze szpadą i tabakierką. Szykiem jest omdlały wdzięk, wyrafinowana rozpusta, lenistwo. Świat ówczesny jest stary od dzieciństwa. Tężyzna, zdrowie, siła — są w złym tonie, wulgarne, ordynarne. Trzeba być subtelnym, wdzięcznym, czułym, Trzeba być wytwornym, zgrabnym, lekkim, szczupłym. Trzeba się kłaniać, klękać, zginać. I trzeba umieć „ne faire rien d'une manière agréable.“ Oto hasło życia.

Ale jest moc uroku, umierającego wdzięku starej rasy, nieuchwytnego sentymentu, smutku w pięknie konania. Gdy spojrzymy na ów porcelanowy, lalkowy, wykrygowany szeleszczący świat, na ów świat gdzie niema chorych, starych, cierpiących, smutnych gdzie wszyscy są weseli, piękni, młodzi — schylimy na chwilę przed nimi głowy. Ale tylko na chwilę, bo z pod szminki, z pod koronek i złota wyjrzą takie ohydy, takie potworności jakich się po owych ludziach spodziewać nie było można. I choć umysły wykształciły się niezwykle, choć poziom wiedzy wzrósł ogromnie, choć ludzie sądzą, że wiedzą wszystko i są mądrzejsi od Boga — są okrutni, oschli, nieludscy, potworni w głębi swych wyrafinowanych dusz.

A teraz przypomnijmy sobie, że cały ów świat musiał przecie gdzieś mieszkać, żyć, przebywać. Na jakim tle haftowało się jedwabne życie owych zmałych istot?

Renesansowy silny zamek, komnaty pyszne i ciężkie, — odeszły w cień, w mrok przeszłości. Panuje pałac, pałac-willa, lekki, zgrabny, powabny, jak modna dama. W kolumnach, w pilastrach, w karjatydach i rzeźbach, strojny w łamane dachy, balustrady, wazonny, w przedziwnej ornamentyce, w koronkach z marmuru lub gipsu — panuje pałac rokoko. Ozdoby za-

głuszyły linię architektoniczną, rzeźba pokryła ściany, spływa od dachu do ziemi, wiję się wkoło okien, drzwi, kominów. Gubi się linja prosta, wszystko się gnie, łamie, wiję, płynie, pędzi, w jakimś błędzie, czy szale wytworności. Panuje styl muszli, roccaille, muszli wypaczonej, przedartej, giętkiej. Gną się nogi krzesel i stołów we wdzięczne esy, wiją się ornamenty na oparciach foteli, czy na szafce zegara. Można powiedzieć, że świat martwych przedmiotów dostał agonii, płacze się w konwulsji przedśmiertnej, zamarł na chwilę bez ruchu, aby za chwilę rozpocząć swój taniec chorobliwy i rozplynać się w nicość. I cały ten świat form jest bezsilny, bezużyteczny, przesadny, bezcelowy, jest stary i chory, lecz ma wdzięk nieśmiertelny, ma urok schyłkowości.

Rokoko panuje w salonie. Jest to sztuka nawskroś arystokratyczna. Pałace składają się z samych salonów, saloników, buduarów. Życie zamyka się w wytwornych, złożonych, przepięknych klatkach. Nawet sypialnia jest salonem, — tylko, że w głębi mamy wielkie łóżę z baldachimem — salonem, który rano i wieczór gromadzi tłum zgietych dworaków. Salonem jest kaplica pałacowa, salonem jest łaźnia. Salonem jest cały sztuczny, sztywny park wokoło, salonem będzie później mroczna, więzienna izba w Temple.

Salony rokokowe są szczytem elegancji, wdzięku, po dziś dzień niezrównanym. Owe misterne meble, złożone lub z cennego drzewa, kryte pysznym deseńniowym adamaszkiem, dywany, jakby wyblakłe, gracki i spręciki służące do bezcelowych robótek i za-

bawek, obrazki wytwornie wykonane, malujące scenki rodzajowe, lub wdzięczne portrety, ornamenty prześliczne na ścianach, cudne kominki. Owe serwantki oszklone, komody, szafy, biurka, stoliczki, owe kanapy, berżery, fotele i foteliki — to arcydzieła meblarstwa, to szczyt sztuki stolarskiej. Misterne okucia, rzeźby i inkrustacje do dziś zachwycają nas. Jest to świat przepiękny, niedościgły w swym nieuchwytnym wdzięku.

Chcąc mówić o wnętrzu rokoko, trzeba mówić o salonie. Takim, lub innym. Lecz wszystkie były jasne, miały wysokie okna — drzwi z drobnych szybek, miały kryształowe świeczniki podobne do szklanych pajęczyn, miały precudne zegary, posadzki, dywany, miały meble dziwnie pokręcone i rzeźby przepiękne, słoneczne obrazy. Lecz i tu pomimo, że przeszło wiele stuleci od renesansu, nie mamy prymitywnych wygod, panują dziwne zwyczaje i brud. Piękne damy podczas uczt rozsnuwają sobie gorsety, by móc więcej zjeść, nie noszą koszul, mają często brudną bieliznę. Zaś prawie wszyscy używają specjalnych drapaczek do głowy. A jeśli wielkie dwory musiały co pewien czas zmieniać rezydencje, to z powodu niemożliwych woni, płynących z ogrodu do pałaców. Dopiero po odjeździe przeorywano ziemię, siano trawę i po pewnym czasie zohydziwszy inne miejsce powracał tłum dworski do poprzedniej siedziby.

Pamiętajmy, że w wieku rokoka stosowano średniowieczne tortury i palono czarownice na stosie.

Zygmunt Knothe.

KILKA UWAG O WYBORZE ZAWODU

Po powrocie z wywczasów letnich zastałam na biurku kilkanaście listów od młodych czytelniczek „Bluszczu”. Wszystkie mniej więcej tej samej treści: jaki obrać zawód? Ku wielkiej mojej radości przekonałam się, że przeważnie piszą osoby ze sfer, dla których niedawno wyraz „zawód” nie egzystował wcale. Ten objaw budzącej się głębszej myśli, ta chęć stania się użyteczną sobie i drugim dowodzi, że jesteśmy w przededniu zaniku upakarzającego typu „panny na wydaniu”, że młode pokolenie kobiet z innego punktu widzenia patrzy na zrównanie praw życiowych, że pragnie owocną pracą wypełnić wolne od naturalnych obowiązków chwile. I przyznam się, że nietyle ucieszyło mnie zaufanie osób potrzebujących zawodowej pracy dla zarobku, jak właśnie tych kilka nieśmiałych zapytań osłoniętych dyskretnie pseudonimem lub tylko pierwszemi literami, tak jakby budzące się szlachetne prześliski poczucia prawdziwie pojętej godności kobiety i jej udziału w trudach życiowych, nie miały jeszcze odwagi jawnie wystąpić. Na dobrej jeściecie drodze, młode czytelniczki nasze, nie w krótkich włosach, wąskich spódnickach i smokingach leży równouprawnienie, ale w równym podziale pracy — dziś nie dość już, wyszedłszy za mąż „być mu kwiatem” o subtelnej woni, czarującym spojrzeniu, eleganckim kostjumie lub powiewnym szlafrocisku przeważ-

nie za „jego” ciężką pracą sprawionym — nie dość na wet być „dobrą gospodynią” niedalekiej przeszłości to jest umieć szafować z pełnego, lub zazdrośnie chować kluczyki, aby nie wyszła łweczka cukru lub kromka chleba więcej, dziś trzeba być umiejętną pomocą, przysparzać dochodów, stwarzać ich nowe źródła, których pełno niewyzyskanych naokoło nas leży. Trzeba starać się umieć na siebie zapracować, a przez to posiadać największy skarb życiowy — niezależność. W wyborze zawodu trzeba liczyć się ze swojemi upodobaniami, wbrew nim nic się nie zbuduje, środkami materialnemi i zamierzonym celem, pamiętając, że jakieby nie były środki i położenie społeczne osoby obierającej go, cel powinien być zawsze podwójny — osobisty i społeczny.

Korzyści osobiste trzeba umieć połączyć z dobrem ogółu. Każda praca do której przystąpimy z zamiłowaniem, uczciwie i sumiennie przygotowane, przyniesie plon obfity w obydwóch kierunkach. Tylko nie trzeba nic robić po dyletancku „po łebkach” — jak to mówią, ale z pełną znajomością rzeczy, z oddaniem i poświęceniem prawie. Jednym z sympatyczniejszych choć bardzo niedocenianych, a tem samem zaniedbanych zawodów jest pszczelarstwo — przytem szybko, łatwo i niekosztownie można go się nauczyć. Panienska potrzebująca prędkiego zarobku, po skończeniu

kursów i odbyciu praktyki, znajdzie zajęcie jako instruktorka stała lub objazdowa, zakładająca i dozoru- jąca pasieki po dworach i zagrodach wiejskich. Może także po wsiach urządzać wykłady o syceciu miodu, i o różnych korzyściach z miodu i wosku wyciągać się dających — jednym słowem znajdzie miłe, słodkie, ko- rzystne dla siebie, a owocne dla kraju zajęcie. Pa- nienka ze dworu, objawszy zapuszczoną pasiekę i stos połamanych uli w ogrodzie rodziców, zabrawszy się z energią do pracy, już w pierwszym roku doprowa- dzi ją do porządku, a w następnych latach co rok po- ważniejsze korzyści ciągnąć z niej będzie, niezależ- niąc się choć w części od uieszeni rodziców, a w przyszłości od męża kieszni.

Dobrze prowadzona pasieka daje poważne do- chody, niewiele przedsiębiorstw przy tak drobnym sto- sunkowo nakładzie kapitału i pracy przynosi tak du- że odsetki. 50% jest tu sumą zwyczajną, a przy sprzy- jających warunkach często spotykamy się ze stoma i więcej procentami. Kraj nasz dawniej był bardzo „miodny“, słynęliśmy z wybornych syconych miodów do picia, a miód i wosk stanowiły znaczny produkt handlu wywozowego. Ale wówczas mieliśmy duże obszary lasów, w których od wczesnej wiosny do póź- nej jesieni kwitło mnóstwo miododajnych roślin. Było też dużo łąk, pastwisk i odłogiem leżących pól, gdzie dziko rosły i kwiały i różne bogate w miód rośliny. Dziś kiedy do anachronizmów należy ugorujące pole kiedy z najmniejszego skrawka ziemi korzyść cią- niemy, a z niebotycznych lasów zostały tylko wspom- nienia — pszczoły mają dużo cięższe warunki bytowania, a choć sieje się grykę, seradelę, koniczynę, rzepak w ta- kiej ilości, że nieraz nawet w połowie wydzielonego nektaru pszczoły nie są w stanie zebrać, to niema tej dawniejszej ciągłości w zbiorach od wczesnej wio- sny do chłódów jesiennych.

Obecnie chcąc mieć korzyść z pszczół, trzeba niemi rozumnie kierować, znać ich życie i potrzeby. W niektórych okolicach, gdzie np. obficie sieją grykę, bywają takie krótkie okresy, gdzie pszczoły mają nad- miar pożywienia, a jednak bez kierunku człowieka nawet dla siebie na zimę dostatecznej ilości miodu zebrać nie potrafią. Kiedy przy pomocy człowieka

zrobia go dla siebie i dla niego. Słyszy się ciągle narzekania i dowodzenia, że dziś pasieki utrzymać się nie dadzą, na poparcie tych dowodzeń widzimy w każ- dym prawie dworze zabytki lepszej przeszłości pod postacią szeregow pustych ulic lub stosów ich połama- nych i popróchniałych części — nie wiemy jednak że te niby spadłe roje zmartwychwstały w ogródkach sąsiadów włóścian, zpowinowaconych, lub zaprzyja- żnionych z naszym ogrodnikiem — pszczelarzem, który korzystając z braku zainteresowania i znajomości swoich zwierzchników umieścił je u „kuma“ dla swojej i jego korzyści.

Pomimo wszystko, co zniechęceni mówią po- wtarzam, że pszczoły opłacają się sownice, trzeba tylko starannie je pielęgnować, dokładnie poznać ich potrzeby i życie czyli tak zwaną „przyrodę pszczoły“. W drugiej połowie zimy w Warszawie w Tow: pszczel- niczem ul. Wiejska Nr. 3 i w Tow: Rolniczem ul. Koper- nika Nr. 30 urządzone są kursy pszczelarskie, Panie mające zamiar zapisać się na nie, zanim to uczynią, niech poświęcą trochę czasu na przeczytanie dzieł traktujących o hodowaniu pszczół jak: „Bartnictwo“ dr. Ciesielskiego, lub o wiele przystępniejsze „Prak- tyczne pszczelnictwo“ opracowane przez St. Brzosko. Dopiero, jak poznamy dokładnie w teorii gospodarkę pszczół, praktyka przyniesie nam rzeczywistą korzyść. Kto ma zabytki po starej pasiece, całe albo połamane ule, niech w ciągu zimy zajmie się ich oczyszczeniem i reperacją, aby wróciwszy z wykładów znaleźć goto- wy warsztat do pracy. Tylko energicznie, nie traćmy czasu, nie ulegajmy wpływom destrukcyjnym ludzi wiecznie wątpiących i krytykujących. Weźmy się z za- pałem młodości do interesującej pracy, a pewna jestem że przyniesie świetne rezultaty, i moje miłe czytelnicz- ki, usłuchawszy rady „Bluszczu“ podziękują mu za nią, a sobie i krajowi przysporzą korzyści, przyczyniając się do rozpowszechnienia tego zdrowego odżywczego produktu, tak dziś trudnego do nabycia, w stanie czys- tym niezafałszowanym. Miód powinien znaleźć się na każdym stole, stać się artykułem codziennej po- trzeby, a nie zbytku, trudnego do nabycia nawet po wygórowanej cenie. Pamiętajmy, że opłaca się i korzyść przynosi tylko to, co jest dla wszystkich. J. S.

ZIMOWE PRZECHOWYWANIE JARZYN

Wszyscy znamy niemiły, jakiś ziemisty smak ja- rzyn pod wiosnę. Najczęściej tego niemiłego smaku nabierają jarzyny przechowywane w piwnicach. Jarzyny dołowane znacznie go mniej mają, a te, co pozosta- wiamy na grzędach, jak pory, czasem pietruszka i se- lery — dobrze ochronione od mrozów słomą lub łap- kami świerkowemi, nie mają go wcale. Do pewnego stopnia można temu złemu zaradzić, odpowiednio się temi jarzynami opiekując. Na wsi, gdzie piwnice są duże, przeważnie zaopatrzone w okna, samo wietrze- nie w dni mniej mroźne i pogodne, częste przebiera- nie jarzyn i wyrzucanie natychmiastowe zgniłych jarzyn, i nadpsutych liści, rostków łądyg dużo po- może. Piasek zeszłoroczny też należy dokładnie usu- nać, wysuszyć na słońcu, przesiać przez sito druciane używane przy robotach murarskich lub do przesiewa- nia żwiru na dróżki. Nie mając dobrej, dużej piwnicy, można sobie na wsi w następujący sposób poradzić. Przed nastaniem mrozów, jarzyny, mające być prze- chowane, przesadza się na grzędy wysoko położone,

tak gęsto, aby jedna drugiej dotykały, w taki sposób na małej przestrzeni można zmieścić duży zapas; grzędy te okłada się deskami lub dylami, tak, jak to się robi ze skrzyniami inspektowemi, na to się usta- wia lekkie krokwie i przykrywa je cienkimi deskami. Dach ten powinien w środku być tak wysoki, aby do tego szafasu mógł wejść człowiek, dla wybierania ja- rzyn, przeglądania ich i wyrzucania nadpsutych. Na jednym końcu szafasu pozostawia się otwór. Na wierzch dachu naściela się stare rogoże lub zniszczone maty. Gdy śnieg napada ubija się go mocno wkoło szopy i narzuca na dach, który powinien mieć tak ułożone deski, aby zachodziły jedna na drugą, żeby w razie topnienia śniegu, woda nie dostawała się do szafasu, lecz spływała na boki. Otwór krokwi powinien być zakryty grubymi matami podwójnymi i staremi drzwiami. Na niedużej przestrzeni można tak zmieścić bardzo dużą ilość jarzyn i przechować je do wiosny, tak smaczne i świeże jakby były w gruncie. Szczególniej kalafjory i kapusta tak trudne do przechowywania w piw-

nicach, w takim szalasie doskonale się czują, kalafjory nawet dalej rozwijają swoje róże.

W dniu mniej mroźne i pogodne należy otworzyć (powinien być zawsze zwrócony na południe,) wietrzyć przez dzień cały, w mroźne dni chociaż na chwil kilka otwierać.. Chodzić po jarzyny z latarnią aby przy każdej bytności sprawdzić czy niema psujących się liści i łodyg. Pozornie duży koszt pierwotnego urządzenia, jest jednak minimalny w porównaniu ze zbudowaniem najmniejszej piwnicy. Można na taki szalas użyć materiału ze starych, rozebranych budynków, na inny użytek już niezdadny, a ponieważ za wyjątkiem największych mrozów, u nas niedługich, budynek taki jest dosyć przewiewny, deski i dyle stare jeszcze lat wiele służyć mogą. Widziałam całe szeregi takich ruchomych szop w ogrodach handlowych, warzywnych pod Moskwą, widocznie nawet przy kupnym materiale, — a drzewne materiały w Moskwie były drogie, gdyż były dowożone koleją lub końmi, nie drogą wodną, jak do Petersburga, — także opłacali się. Jarzyny tam były wspaniałe a tak tanie, że myśleć się o tem nie chce płacić pięćdziesiąt groszy za seler jeden, trzydzieści groszy za porę, lub całego złotego za średniej miary, dobrze podechnięty karczoch, jak gdyby te jarzyny pochodziły z Włoch prawdziwych a nie z Włoch pod Warszawą. — Gorzej jest z paniami miejskimi, które mając małe, ciemne i wilgotne piwniczki, w których trzeba przechować i węgiel, i balję, i beczki z kapustą lub ogórkami, i warzywa, nie wiedzą jak sobie poradzić i prawie wszystkie, ku wiośnie, narzekają: że im kartofle pogniły, buraki i marchew sparciały, kapusty połowę trzeba było wyrzucić itd. W wielu, bardzo wielu wypadkach, na to nic poradzić się nie da. Jeśli piwnica jest ciemna i wilgotna, to lepiej nie narażać się na pewne a duże straty i nie robić zapasów włoszczyzny ani kartofli, tylko kupować je co parę tygodni na rynku, wprost z wozów, nieco droższe ceny ku wiośnie napewno jednak nam się opłacą, jeżeli weźmiemy pod kredkę te ilości produktów, co by się nam w piwnicy zepsuły. Jeśli piwnica ma okno, możemy w dniu pogodne i niezbyt mroźne piwnicę wietrzyć choć przez godzin parę. Przed ułożeniem jarzyn, piasek cały wygarnąć, przesuszyć na powietrzu, lub jeśli w śródmieściu nie możemy tego na dziedzińcu wykonać, przesuszyć w piecu lub pod blachą na brytfanach. Jest to uciążliwa robota, ale niezbędna. Jeżeli włożyć warzywa w piasek z przegniłymi resztkami zeszłorocznych, zaczną one się psuć natychmiast zarażone zgnilizną. Gdzie jest duży zapas węgla drzewnego, można go trzymać w kącie piwnicy, znakomicie pochłania wilgoć i osusza powietrze. Potaż trzymany w miskach też doskonale pochłania wilgoć, można go potem wyparować na ogniu, jest to jednak zawsze kosztowny środek. W wilgotnej piwnicy najlepiej trzymać jarzyny w skrzyniach ustawionych na większych kawałach węgla lub polanach drzewa, aby nie dotykały ziemi. Skrzyni takich od towarów, tanio, u różnych kupców dostać można. Za każdym razem biorąc kartofle i jarzyny, wynosić i wyrzucać te, co się zepsuły, a brać do użycia te, które ślady początków psucia okazują; oczywiście tylko takie, które są do użycia

zdadne. Raz na dwa tygodnie przebrać wszystkie kartofle i inne jarzyny jaknajstaranniej, przekładając na górę te, co były na dole, aby wszędzie, przy wietrzeniu jednakowo powietrze dochodziło. Kapusta kwaszona jest specjalnie niedobrem sąsiedztwem dla jarzyn, sama łatwo pleśnieje i pleśnią sąsiadów zaraża, w wilgotnych piwnicach trzymać ją się nie opłaci. Taniej wypadnie kupowanie w miarę potrzeby. *Pani Elżbieta.*



ZUPA POSTNĄ Z KAPUŚCIANEGO KWASU

Litr kwasu z kiszzonej kapusty rozprowadzić litrem wody, (mniej, lub więcej wody należy użyć w zależności od smaku kapusty i jej kwasu,) włożyć włoszczyzny jak zwykle do rosółu, (marchew, pietruszkę, porę, kawałek selera, cebulę,) i trzy lub cztery, młode grzyby suszone. Gotować aż włoszczyzna i grzyby zmiękną, poszatkować cienko jedno i drugie, włożyć do wazy, w której już są przygotowane: dwadzieścia deka dużej, cukrowej, oddzielnie ugotowanej fasoli, łyżka masła śmietankowego, nieco zielonego koperku usiekanego. Zalać przecedzonym kwaskiem i podawać gorące do stołu. Ma smak miły i orzeźwiający i stanowi dobrą zmianę zwykłych zup postnych.

BUDYŃ Z KASZY JAGLANEJ

Pół kilo kaszy jaglanej sparzyć wrzątkiem, odlać, znów sparzyć, powtórzyć to trzy razy dla odjęcia goryczy. Ugotować na mleku z łyżką masła, przy końcu gotowania wysypać łyżkę cukru. Cztery żółtka utrzeć do białości z łyżką masła, zmieszać z wystudzoną kaszą, dodać zielonego lub suszonego koperku, dodać pozostałe białka, ubite na sztywną pianę. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać sucharkiem, nałożyć niepełno budyniową masą, przykryć szczelnie pokrywą, wstawić w rondel z wrzącą wodą i gotować całą godzinę. Przed podaniem wyrzucić na półmisek, polać zrumienionem z bułeczką masłem. Oddzielnie podać do tego czysty (bez śmietany) sos pomidorowy. *Pani Elżbieta.*

DOBRE RADY

Aby przywrócić kości słoniowej jej pierwotną białosć trzeba natrzeć terpentyną albo sokiem cytrynowym pożółkłe przedmioty. — Następnie wystawić na działanie promieni słonecznych. Sposób drugi: — Zanurzyć żółkłe przedmioty w wodę rozmięszaną z wapnem lub z szarem mydłem i zagotować w niej — pierwotna białosć i blask powrócą. — Woda utleniona działa także doskonale na pożółkłe drobiazgi z kości słoniowej. Dobrze także jest utrzeć na proszek kawa-

KOSMETYKI DR. J. ŚWITALSKIEJ

Wysyłka z z. liczeniem i sprzedaż detaliczna
Krucza 31, m. 3.

„MÓJ KREM“ działa ochronnie przeciw zmarszczkom, wydelikaca i wygładza skórę.
„MÓJ PUDEK HIGIENICZNY“ w rozmaitych odcieniach.
„MYDŁO LILJOWE“ dla najwrażliwszych skór.
„KREM DO RĄK“ działa wybielająco.
„PIEGOLIN“ krem na piegi.

lek pumeksu, rozrobić ten proszek z wodą, natrzeć nim pożąłką kość i wystawić na słońce.

* * *

Aby odświeżyć łańcuszki i drobiazgi srebrne trzeba wziąć butelkę z długą prostą szyjką o pojemności przynajmniej pół litra, wlać w nią dwie trzecie ciepłej wody z mydłem drobno poskrobanem—można użyć ługu, ale wtedy woda musi być gorąca.—Wrzucić w butelkę przedmioty przeznaczone do oczyszczenia i poruszać butelką najmniej 5 do 10 minut. Jak butelka będzie pełna piany—łańcuszki będą napewno czyste, przedziwnej białości.—Wtedy wyjąć je, płókać w czystej wodzie kilka razy a następnie wysuszyć w trocinach.

TOWARZYSTWO POPIERANIA JEDWABNICTWA W POLSCE

Ważnym krokiem naprzód w rozwoju kwestii przemysłu jedwabniczego w Polsce stać się powinno, zawiązane pod powyższą nazwą, Towarzystwo. Statut uzyskał już zatwierdzenie władz. Jako założyciele podpisani są: Teofil Dynowski, Wacław Rymarkiewicz, Henryk Wituczek, dr. Antoni Makowski, Czesław Wabinowicz, Antoni Bartlet. Składka roczna wynosi 5 zł. Zanim dojdzie do zebrania organizacyjnego, należałoby już zgromadzić poważniejszą liczbę zapisów. Zapisywać się można i wnosić składki u p. Wasiewicza w Centr. Tow. Rolniczem—Kopernika 30.

Cele Towarzystwa omawia Statut w kilku naczelnym paragrafach. A więc: „Celem Towarzystwa jest wszechstronne popieranie jedwabnictwa na całym terenie Polski i w tem zadaniu działalność jego przewiduje: propagowanie wszelkimi sposobami idei stworzenia jedwabnictwa polskiego i zaznajomienia z niem społeczeństwa, zakładanie stacyj doświadczalnych, oraz przedsiębiorstw produkcji jedwabiu i jego przetworów, oraz organizację specjalnych szkół i kursów, urządzanie wystaw, pokazów i odczytów publicznych, oraz wycieczek, wydawnictwa drukiem, usilne popieranie tworzenia się placówek eksploatacji jedwabnictwa, zakładanie oddziałów Towarzystwa, oraz popieranie i zakładanie towarzystw pokrewnych, tworzenie specjalnych sekcji z określonymi zadaniami“.

W ramach tak ujętego statutu mieści się oczywiście bardzo wiele rzeczy niewyszczególnionych w nim: zabiegi u Rządu i ciał prawodawczych o sprzyjające rozwojowi jedwabnictwa ustawy i rozporządzenia, obrona prawna, zainteresowanie kapitałów nową gałęzią przemysłu itd. itd.

Czytelnikom „Bluszczu“ sprawa cała nie jest obcą. Poruszaliśmy ją kilkakrotnie w różnorodnym oświeceniu. Tu więc pragniemy tylko, informując się o powstaniu Towarzystwa, zachęcić najgoręcej do zapisywania się na członków. Oczywiście, przedewszystkiem uczynić to powinni hodowcy jedwabników, ale poza tem każdy obywatel Państwa, rozumiejący, jak ważną rzeczą byłoby dla Polski powstanie nowej gałęzi przemysłu, przemysłu, który niesłychane bogactwa ściągają do innych krajów, który zatrudnić może setki tysięcy rąk roboczych, i to przedewszystkiem kobiecych, który nam zaoszczędzi wydatków na materje jedwabne, sprowadzane dziś z zagranicy i ubierze nas w szyszytkich w piękną, taną i trwałą higieniczną odzież. Doprawdy sprawa jest poważniejsza, niżby się pozornie zdawać mogło.

C. V.

* * *

Na liczne zapytania Czytelniczek, jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy“, która zawiera dokładną

naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje tylko 1 zł. 50 gr.

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu“, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 44

996. Suknia ślubna z białego satyn i koronki srebrnej.
997. Suknia z różowej georgetty, przybrana futrem.
998. Suknia z lamy złotej i koronki przerabianej turkowszym.
999. Kostjum z kasha ciemno fiołkowego, przybrany lisami.
1000. Paltocik z piaskowego sukna dla małej dziewczynki.
1001. Paltocik z zamszu wiśniowego przybrany futrem i haftem dla dziewczynki sześciolatniej.
1002. Suknia wełniana granatowa, przybrana fokami.
1003. Palto ciemnozielone z wyłogiem futrzanym.
1004. Suknia z crepe marocain rudego koloru, przybrana futrem.
1005. Ubranko z szewiotu granatowego dla chłopczyka siedmioletniego.
1006. Majteczki welwetowe i bluzka z surowego jedwabiu dla chłopczyka pięcioletniego.
1007. Suknia z bołorem z lekkiej wełny, lamowana aksamitką.
1008. Suknia z welvetu granatowego przybrana szerokim galonem.
1009. Bluzka z crepe de chine'u różowego, przybrana piosowaną falbaneczką.
1010. Kapturek z imitacji zamszu i barwnego galonu, dla małego dziecka.
1011. Komplet i nocna koszulka przybrane nicianką dla dziewczynki sześciolatniej.
1012. Bluzka z flory koloru lie de vin z białym kołnierzem szalowym.
1013. Bluzka z crepe marocain, kołnierz i guziczki do cienia.
- 1014-1015-1016-1017. Cztery fasony fartuszków dla małych dzieci.
- 1018-1019-1020. Trzy wzory haftu na bieliznę damską.
1021. Wzór na serwetkę, aplikacja batystowa na tiulu.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne
desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.



PRZEMYSŁ
MYDLARSKI
i
PERFUMERYJNY

FRYDERYK PULS S. A.

WIERZBOWA 11.